Samuel ze Skrzypny Twardowski
i jego poezya na tle współczesnem.

(Ciąg dalszy).

[Xiążę Wiśniowiecki Janusz, koniuszy koronny, krzemieniecki starosta, oyczystą Muzą przypomniany świeżo roku 1646. Leszno. Daniel Vetterus. str. nlb. 2, liczb. 52, in folio.] [1])

Okoliczności i pobudki pisania. — Treść i budowa. — Ocena.

Olbrzymie dobra Zbarazkich przeszły po wymarciu tego rodu w ręce Janusza Wiśniowieckiego, który był siostrzeńcem ostatnich potomków męskiej linii Zbarazkich, księcia Krzysztofa i Jerzego. Ci dwaj bracia roztaczali hojną opiekę nad Twardowskim, to też kiedy zabrała ich śmierć, p. Samuel szukać musiał innego protektora. Cykl wierszy panegirycznych z tego czasu dowodzi, jak pukał do serc możnych panów, a pukał napróżno. Dopiero wydanie „Przeważnej Legacyi" z dedykacyą dla Janusza Wiśniowieckiego, zwróciło nań uwagę tego dziedzica fortuny Zbarazkich, który poczuł się w obowiązku objąć także niejako moralną spuściznę po wujach i przyjąć do swego domu przez nich protegowanego p. Samuela. W jesieni 1633 r. Twardowski jest już w Wiśniowcu, gdzie lat kilka miał przepędzić. Przyjechał na wir

[1]) Bibl. Czart. Uniw. Warszaw.

i zawieruchę, bo właśnie nadciągał Abazy-basza, a książę Janusz postanowił ruszyć w pomoc hetmanowi Koniecpolskiemu, który miał powstrzymać najazd turecki. Los poszczęścił Polakom, wróg cofnąć się musiał. Od tych pierwszych przygód wojennych, przebytych wspólnie z ks. Januszem, Twardowski ciągle bawił na jego dworze, razem z nim ruszał na wyprawy, razem z nim w pokoju się bawił. To też przy łożu śmierci księcia gorżko płakał i wnet napisał „Pobudkę cnoty“ dla młodziutkiego syna zmarłego, Jerzego Dymitra. Podobno także niedługo potem zaczął spisywać wierszem życiorys ks. Janusza [1]) ale rozmyślił się, robotę schował i dopiero w lat dziesięć, kiedy podrósł ów Jerzy i brat jego Konstanty, wydobył z ukrycia poemat, wykończył ostatecznie i wydał w 1646 r.

Pobudką pisania była chęć złożenia hołdu pamięci dzielnego księcia i zamiar przypomnienia synom obowiązków, jakie na nich wkładała tradycya po ojcu dziedziczona. Twardowski był może po śmierci Janusza nauczycielem młodych Wiśniowieckich przez czas jakiś i dla tego sądził, że trzeba dać im wzór postępowania w życiu i to wzór taki, do któregoby ciągnęło ich serce i tem silniejszy wzbudziło zapał dla cnoty i męstwa.

Krótko ujęty tok myśli poematu jest następujący. Po opisie żalu całego kraju i rodziny, genealogia domu Wiśniowieckich, którzy zawsze kresów ukrainnych bronili, szczegółowo jest wyprowadzona. Sam Janusz do wojaczki od dzieciństwa wzwyczajony, najpierw w kraju, potem we Włoszech nauki pobierał. Na zakończenie studyów podróżował nieco po południowej Europie, a wróciwszy do kraju, pełnił publiczne służby. Drugą podróż odbył morzem z Gdańska do Hamburga, potem lądem przez Holandyę, Francyę, Hiszpanię. Czas jakiś jako ochotnik brał udział w wojnach holenderskich, potem do Polski się udał w sam płomień potrzeby szwedzkiej. Po jej ukończeniu żeni się i gospodaruje w rodzinnych dobrach, zabawy uczone urządzając, polowania, uczty, rycerskie gonitwy, a w razie okazyi gromiąc zagony tatarskie. Na Sejmie elekcyjnym przyczynia się do obioru Władysława, na koronacyjnym jest także. W czasie najazdu Abazego 3.000 wojska w pomoc Koniecpolskiemu prowadzi. Udaje się pod Smoleńsk i zwiastuje królowi nowinę o zwycięstwie. Na kamieniecką potrzebę przywodzi 33 chorągwie, a po pokoju o utrzymanie dziel-

[1]) Jak zapewnia w dedyk. do „X. Wiśniow.“

nego wojska się stara. Nad Bohem zakłada Dymitropol. Coraz bardziej zapada na zdrowiu, nie pomagają lekarstwa. Wreszcie na krótko przed śmiercią odbiera z rąk królewskiego posłańca polną buławę.

Układ ogólny „Wiśniowieckiego“ jest taki sam, jak w innych panegirykach. Otóż najpierw łzy po jego stracie leje, potem o jego rodzie szeroko mówi, szereg przodków pod pochwalne promienie swej Muzy przywodząc, potem od kolebki do mogiły prowadzi swego bohatera, wplatając w historyę jego żywota wąskie pasmo pochwał, zachwytów, uniesień.

Oczywiście taki życiorys za świeżej pamięci spisany, ma znaczną wartość jako źródło historyczne, chociaż jest nieco pobieżny. Pisany wierszem trzynasto-zgłoskowym, czyta się gładko, rzekłbym gładziej, niż rzeczy późniejsze. Są ustępy nawet wcale ładne, sam koniec dość rzewny, a całość owiana wielką sympatyą dla Wiśniowieckiego; mimo tego czytelnikowi udziela się uczucie autora skąpo, więc się książeczkę przeczyta, odłoży, zapomni. Nie wryje się w pamięć postać księcia Janusza tak, jak się przez „Legacyę“ utrwala w wyobraźni Krzysztof Zbarazki. Za to wady są równe. Przy budowie większego okresu myśl rwie się Twardowskiemu, inaczej skończy, niż zaczął, a raczej zgoła o czem innem skończy. Pytania retorycznego nadużywa absolutnie, wiele zwrotów, porównań powtarza z „Legacyi“. Na wszystko patrzy przez pryzmat świata klasycznego, który mu polskie światło rozbija na barwy, przez Rzymian używane: tak dla określenia młodziutkiego wieku księcia powiada: „jeszcze w świetney kassance pretextowy chodził“. Pozwala sobie na niemożliwe przenośnie, np. „Sława w twardym dyamencie dłutem kuła złotym“, jakby go zadowalało zestawienie ładnych słów, choćby one nie dały treści. Tak wady wadom „Legacyi“ równe, a zaciekawienie budzi „X. Wiśniowiecki“ wiele, wiele mniejsze i rychło rozpływa się, w pamięci żadnego nie utrwalając wrażenia.

[Władisław IV., król Polski y Szweski. Leszno. Daniel Vetterus. 1649 i 1650, str. 275. in folio.][1]

Powstanie. — Brak końca. — Podział. — Niezgodność treści z tytułem. — Materyały. — Wartość historyczna i obyczajowa. — Ocena: Forma. Język. Treść.

Jeżeli Zygmunt Waza nie cieszył się sympatyą szlachty, która na królewską głowę wszystkie winy nawet własne zwalała, to Władysław IV. wręcz naodwrót zdołał pozyskać wiele serc i umysłów. Z jego imieniem łączono sławę zwycięstw tureckich, moskiewskich, oswobodzenia Prus, poskromienia Tatarów, ukrócenia buty i zuchwałości kozackiej, rozszerzenia granic na Wschód, chwalono jego rycerskość, jego zamiłowanie w polskich rzeczach. Niemniej jednak choroba antikrólewskiej opozycyi, podtrzymana i wzmocniona mimowoli przez rządy Zygmunta, nie znikneła pod berłem Władysława. Ta sama szlachta kładła swoje niszczące wota na drodze królewskich zamiarów, ta sama wiązała prawie jednomyślnie ręce przedsiębiorczej polityce zewnętrznej, która Władysława kochała bardziej, niż jakiegokolwiek innego króla od dawnych czasów, aż do Michała Wiśniowieckiego. Z takiej miłości, z takiego podziwu dla pięknych czynów polskiego oręża za Władysławowego panowania, wypłynął wielki, o 11.000 z górą wierszy poemat Twardowskiego. „Bo kiedy króla tak wielkiego wszystkie inne style y języki mówią, czemu go oyczysta milczeć miała Muza?“ [2])

Muza pracowała lat kilka. Trudno oznaczyć dokładnie, kiedy poemat powstawał, to jednak zdaje mi się niewątpliwie, że nie należy rozwałkowywać pisania na czas długi. Na str. 63-ciej jest wzmianka o roku 1638, a więc pieśń druga po tym roku była pisana. Na str. 208 już Ossoliński jest kanclerzem; był nim od roku 1643. Na str. 252 i 253 są przewagi Wiśniowieckiego nad kozakami, jest nawet Połonne i strata Baru. Wnosiłbym z tego, jak z faktu, że Twardowski wydał w roku 1640 „Satyra“, więc czas poprzedni jego tworzeniem miał zajęty; dalej: że w chwili pisania „Satyra“ nie całkiem przychylnie był

[1]) Wyd. z 1649. Czart. Branic. Dzikow. Jag. Un. warsz. Krasiń. Wyd. z 1650. Ak. Um. Ossol.

[2]) „Wład. IV.“ — Do łaskawego czytelnika.

dla Władysława usposobiony, bo na królewskim dworze forytowano cudzoziemszczyznę i pochlebstwo; następnie: że skutkiem tego dopiero nieco później pomysł takiego panegirycznego bądź co bądź poematu powziąwszy, wpierw materyał historyczny zebrać musiał; w końcu: że przy znacznej łatwości pisania nie potrzebował zbyt długiego czasu na stworzenie choćby 11.000 wierszy; z tego wszystkiego wnosiłbym, że powstawanie „Władysława IV." na jakieś lat pięć najwyżej przed rokiem 1649 rozłożyć należy.

Poemat nie stanowi całości zamkniętej. Nicią wiążącą pojedyncze jego części jest osoba Władysława. Po za tem każda pieśń sama dla siebie jest całostką. Pieśni jest pięć, ostatnia kończy się rozejmem ze Szwedami w Sztumsdorfie, a więc na roku 1635. Twardowski przerywa, obiecując pisać dalej. Tymczasem wybuchły były wojny kozackie, które porwały go w zamęt, przepłoszyły z Zarubieniec, przeszkodziły w pracy, ale z drugiej strony dały mu materyał do „Wojny domowej". Sądzę z tego, wbrew przypuszczeniom innych,[1] że nie dla tego nie skończył „Władysława", jakoby smutna rzeczywistość zadała kłam pochwałom dla króla i zniechęciły go osobiste i narodowe klęski, jakoby czasy były antykrólewskie, a on króla uwielbiał, ale dla tego, że po prostu zabrał się do czego innego. Może miał nawet pewne notatki do dalszego ciągu, lecz zaskoczony śmiercią Władysława, to, co było gotowe, wydał, a potem już do dawnego pomysłu nie wrócił, tem bardziej, że rozmiłowany w opisywaniu wojen, nie miałby w ostatnim dziesiątku lat Władysławowego panowania odpowiedniego materyału, kiedy z drugiej strony jego uwagę, myśl, serce, wyobraźnię porwały krwawe zapasy na wschodnich kresach, wzniecone buntem Chmielnickiego.

Że poemat mógł zirytować cara i przyprowadzić do pasyi Puszkina, dziwić się trudno. Zdaniem Twardowskiego naród moskiewski jest: „nikczemny y gruby",[2] a kiedy w czasie tatarskiego jarzma posłowie hana po haracz przyjeżdżali do Moskwy i gdy kobylego mleka

„na grzywę końską co kanęło
Wielkim kniaziom ulizać potrzeba to beło".[3])

---

[1]) Chlebowski.
[2]) „Wład. IV.", str. 8.
[3]) „Wład. IV.", str. 9.

To też, jak już w życiorysie wspomniałem, został „Władysław IV.“ skazany na spalenie i spalony publicznie. Szkody nie poniósł właściwie jednak żadnej, bo ciekawa publiczność zaintrygowana głośną sprawą, chciwie rozkupowała egzemplarze,[1] które przed katem schowano, a z tego, że mamy druk identyczny z lat 1649 i 1650 wnosiłbym, że zaraz zrobiono drugi nakład.

„Władysław IV.“ dzieli się na pięć punktów. Pierwszy obejmuje sprawę Dymitra i wojnę moskiewską (1617—1618), drugi wojnę turecką, więc pogrom cecorski i bitwę pod Chocimem; trzeci podróż królewicza po Europie; czwarty wojnę szwedzką, śmierć Zygmunta i elekcyę; piąty wreszcie wojnę moskiewską, niedoszłą turecką i szwedzką: całość tedy zawiera lat trzydzieści, ale z jakiemiż przerwami! Przedewszystkiem zauważyć należy, że „Władysław“ jest pisany bez należytego planu. Tytuł skłaniałby do wniosku, że to będzie życiorys króla, opowiedziany jednym ciągiem i że może na tem tle rozwinięte będą dzieje Polski, o ile stały w związku z królewskim sternikiem. Tymczasem jest inaczej. Pierwsza pieśń, pomijając dziecięcy wiek Władysława, charakteryzuje go ogólnie i rzuca z góry przegląd krótki jego czynów. Lecz zaraz porzuca bohatera i wywiódłszy historyę moskiewską gędzi o wyprawie Dymitra i całej wojnie z niej wynikłej, a z bohatera ani śladu i dopiero pod sam koniec występuje na chwil parę, żeby zemsty szukać na wiarołomnych Moskalach. Podobnie w drugiej pieśni Władysław chowa się za sceną, a akcya przeskakuje aż na Wołochy. Jest historya wołoska, potem owe wyprawy Koreckiego, Potockiego i Wiśniowieckich, jest trochę o kozakach, o układach Żółkiewskiego i Skinderbaszy (1617—1618), wreszcie klęska cecorska. Tymczasem z życia Władysława notuje jeden drobny fakt: nieudały zamach na Zygmunta, przy którym królewicz był i pierwszy ojcu na ratunek skoczył. Tymczasem o Polsce całej cicho, tylko Sejm z r. 1620 wspomniany. Następuje bitwa chocimska i wszystkie bliżej z nią na kresach związane wypadki. Czy znowu Władysława niema? Owszem jest. Przyjeżdża do obozu, kładzie się do łóżka, a walki trwają swoim trybem. Dopiero trzecia pieśń cała, jak jest, jedzie z królewiczem w podróż po Europie; to też zdawałoby się, że skoro Twardowski pomija znowu parę lat historyi Polski; to wróci do niej o tyle tylko, o ile wymagać będzie związek jej z bohaterem. Ale nie! Czwarta pieśń zapomina o Władysławie i zajmuje się rozwlekle

[1]) Pam. Albr. Radziwiłła.

wojną szwedzką, a dopiero kiedy umiera Zygmunt, przypomina sobie kogo właściwie opiewać powinna, więc zwołuje Sejm elekcyjny, wybiera go jednomyślnie, w końcu przenosi się do Krakowa, gdzie przypatruje się ciekawie pogrzebowi zmarłego króla i koronacyi nowego. Właściwie wyłącznie w piątej pieśni rzeczywistym bohaterem jest Władysław, nie tylko z imienia jako główna osoba poematu, ale jako naczelny wódz w wyprawie moskiewskiej i kierownik dalszych spraw grupujących się około niezgody z Turcyą i walk ze Szwecyą.

Jakby to jednak nie było, chociaż ani planu niema, chociaż raz sprawy ściśle prywatne Władysława opowiada, to znów do publicznych się zwraca, które w żadnym z nim nie stoją związku, przecież pojedyncze części poematu same dla siebie stanowią całostki i zamykają parę kart dziejów Polski. Wobec tego faktu, narzuca się pytanie, jaka jest historyczna wartość „Władysława IV."

Szmat czasu, z trzydziestu lat najważniejsze wypadki prawie bez wyjątku! Może ten zgmatwany w układzie poemat jest nieprzebraną kopalnią, niewyczerpanem źródłem naukowem? Niestety nie.

Idźmy koleją i spisujmy dzieła, jakie Twardowski mógł mieć pod ręką:

Do punktu I. Żółkiewski Stan.: „Początek i progres wojny moskiewskiej". Marchocki Mikołaj: „Historya wojny moskiewskiej" (kończy na roku 1611). Maszkiewicz Samuel: „Dyaryusz" (kończy na przygotowaniach do wojny chocimskiej).

Do punktu II. Sobieski Jakob: „Commentarium belli Chotinensis" (1646 dwukrotnie tłumaczone na język polski w rękopisach). Petrycy Jan: „Rerum in Polonia ac praecipue belli cum Ossmano, Turcarum imperatore, gesti finitique historia anno 1620 et 1621" (1627). Szemberg Teofil (naoczny świadek): „Relacya o polskiej wyprawie do Wołoch" (1621). Zbigniewski Prokop: „Relacya wojny wołoskiej" (1621). Rudomin (świadek naoczny): „Dyaryusz wyprawy wojsk polskich pod Chocim w r. 1621" (wierszem 1640).

Do punktu III. Pac Stefan: „Dyaryusz podróży królewicza Władysława".

Do punktu IV. Koniecpolski Stanisław: „Rozprawa pod Amersztynem z Gustawem Adolfem". — „Relacya wjazdu w Rzymie Jerzego Ossolińskiego, posła." (Przełożona z włoskiego 1633).

Do punktu V. Sobieski Jakób: „Dziennik rokowań z posłami szwedzkimi w Sztumsdorfie.

Do całości: Łubieński Stanisław: „Kronika“ (jako dalszy ciąg Heidensteina: zaginęła ona, ale mógł ją mieć jeszcze Twardowski.[1]) Piasecki Paweł: „Chronica gestorum in Europa singularium“ (1645). Wassenberg Everhard: „Gesta Vlad. IV.“ (1641). Gorczyn Jan Aleks.: „Pamięć Władysława IV.“ (1648). Okolski Szymon: „Dyaryusz“ i „Kontynuacya dyaryusza“.

Czy wyliczyłem wszystko? Nie: nie wyliczyłem nawet połowy. To jednak już wystarczyłoby, ażeby odtworzyć prawie całego „Władysława“, oczywiście co do treści. Ale po za tem są przecież niektóre szczegóły, zwłaszcza w punkcie piątym, które Twardowski wziął z własnych notat. Jedne rzeczy widział sam, inne żywa tradycya z ust do ust obiegająca i jemu życzliwie udzieliła, inne z różnych listów, z pamiętników, z sylw czerpał. Dziś już one zaginęły, ale wówczas krążyły gęsto i przybiegały do rąk p. Samuela.

Naturalnie takie rzeczy, o których pisał:

„A z ust ludzkich y uszu dźwięki te zbieramy“,[2])

takie rzeczy mają dla nas wartość historycznego źródła. Niestety ograniczają się do małoważnych szczegółów: tu i ówdzie zapisane nazwisko jednego więcej szlachcica, który życie wiódł ciche, szeroko nie zabłysnął i położył głowę na polu bitwy. Pewnie, że pięknie jest nagrobek takiemu wystawić, pewnie, że ze czcią imię jego wspominamy, ale historya zyskuje na tem mało. Tu i ówdzie wiadomość o jakimś drobnym podjeździe, o którym gdzie indziej się nie słyszało, to znowu szczegolik z oblężenia miasta, albo parę słów o ataku jakiejś chorągwi. Ale historyi całej nie tylko szkielet, lecz także wszystkie główniejsze fakta, nawet tych faktów rozprowadzenie, nawet w tem rozprowadzeniu małe wzmianki wzięte zkądinąd, w innych dziełach odszukać się dadzą.[3])

Pisze Brodziński w swych „Pismach“,[4]) że obrzędy i zwyczaje narodowe obszernie i żywo są oddane we „Władysławie IV.“

[1]) Jego stosunków z Łubieńskim dowodzą dedykacye i wiersze, patrz „Misc. sel.“

[2]) „Wład. IV.“ str. 53.

[3]) Twardowski sam odsyła do innych historyków, str. 13.

[4]) 1872, t. IV. str. 177—228.

I tego niema. Wszystko wypełniają bitwy, potyczki układy, walki w nocy i w dzień, ciągle słychać szczęk bojowy, a po za tem jest wprawdzie pokojowa pieśń trzecia, ale ta zajmuje się zagraniczną podróżą, z której ani obrzędów, ani zwyczajów narodowych nie można poznać. Szersze niejako tło, w którem dadzą się dopatrzeć rzeczy, jakie Brodziński widział, stanowi elekcya Władysława, pogrzeb Zygmunta i Sejm koronacyjny (razem stron 18).

Pomysł takiego rozległego życiorysu wierszem jednego króla był w Polsce nowością. Za granicą inaczej. W samej Hiszpanii pisze Geronimo di Semper: „La Carolea“ (1560), w którym 30 pieśniami opiewa ważniejsze czyny Karola V. Podobnie Luis Zapata pisze „Carlo famoso“ o 40.000 wierszach. Podobnie Juan Rufo Gutierrez „Austriada“ o Don Juanie austryackim. Wszystko to jednak nie jest poezya i nasz Twardowski przecież od nich stoi wyżej.

Nuta panegiryczna dźwięczy co prawda, ale jak miało być inaczej, kiedy ten Władysław musiał nielada być człowiekiem, skoro go nawet, jak zapewnia p. Samuel, kamienie chwaliły,[1]) a cesarze rzymscy nie wytrzymali z nim porównania.[2]) Pod względem samego wynalazku, żeby wierszem taki ogrom historyi spisać[3]) i pod względem kompozycyi nie ostoi się „Władysław IV.“ wobec krytyki. Mówiłem już o braku myśli przewodniej, która sprowadza zupełny brak architektoniki. Ale obok tych zasadniczych wad, obok wielu nudnych rzeczy, sucho, po kronikarsku, z przysypką źle przyczepionych zwrotów niby poetyckich, są piękności, jeno ich szukać trzeba, bo nie na każdej są karcie.

Wiersz jest trzynastozgłoskowy, ulubiony Twardowskiego w „historyach“, wynikający z natury rzeczy, zastosowany dobrze. Inne formy byłyby albo za trudne, albo nieodpowiednie. Wszystko, co o klasycznych wpływach powiedziałem przy „Legacyi“, mutatis mutandis odnosi się i do Władysława. Najsilniej przypominają się Wergili i Owidius, zwłaszcza Wergili w tonie, który lubo bez miary gorszy i niklejszy, przecież podobny, jakby na tych samych skrzypcach rzecz o równym nastroju zagrał mistrz-wirtuoz

---

[1]) „Wład. IV.“, str. 263.

[2]) Tamże, str. 274.

[3]) Pisali inni, ale o pojedynczych faktach dziejowych, nie taki ogrom.

i skrzypek-amator. Choćby same dedykacye do Jowiszowych cór, choćby sam początek:

„Króla powiem wielkiego w woynie y w pokoiu...“

Porównań epickich nie żałuje, w inne jednak tropy i figury mniej jest poemat ozdobny. Przez to wygląda jak szeroki, długi pas, w którym tu i tam drogie kamienie są osadzone, gdzieniegdzie przetykane perełkami. Nierównomierne rozmieszczenie tych kleinotów wynikło z tego, że Twardowski ogrom taki na wiersz przerabiając, wskutek mało poetycznej treści, wskutek drobiazgowości szczegółów historycznych, wskutek wreszcie niejednokrotnego zasiadania do pracy bez weny, musiał po prostu czasem znaczny kawał pasa pozostawić bez ozdoby.

Porównania, które bierze żywcem z dzieł klasycznych, a które są ściśle spojone ze światem klasycznym, naturalnie są gorsze.[1]) Wszystkie lasy Hercyńskie, Eurusy, Wezuwiusze, Mollosowie, Plutony mogłyby spoczywać w pokoju. Natomiast porównania wzięte z natury, wcale nieźle przeprowadzone, dostosowane dobrze, czasem ładne, czasem nawet piękne. Kiedy Twardowski skupi ich parę w jednem miejscu, wtedy nawzajem się zacierają i mącą wrażenie. Przecież i tu nie bez wyjątków, np.:

„Lata myśl szalona
Jako cyga od dzieci biczami sieczona,
Albo piorun niebieski w bystrey błyskawicy,
Albo po przezroczystey od słońca miednicy
Blask ciskany.“ [2])

Szczególnie miejsca, gdzie mówi o samym Władysławie[3]) są ładne, rzecz zaraz idzie żywszym tempem, wyobraźnia lepiej służyć poczyna. Szkoda tylko, że balast mitologii tak szczodrze rozrzuca, bo przyćmiewa erudycyą blask, jaki wywołać potrafi, gdy z nią zerwie.

[1]) Np. na str. 70. Gracyan z desperacyi morduje Turków, jak wół ofiarny, gdy się w świątyni tłucze, skoro się urwie z przed ołtarza. Anachroniczne porównanie.

[2]) „Wład. IV.“ str. 55. Swoją drogą porównanie: „jako cyga i t. d.“ było już w „X. Wiśniowieckim“ (str. 28).

[3]) Np. „Wład. IV.“ str. 48 lub wjazd do Krakowa, str. 201.

Na licencye poetyczne, które gramatykę dla rymu lub rytmu torturują, pozwala sobie bardzo rzadko, za to słów obcych wprowadza dobrze opatrzoną chorągiew.

Alteca (55), presumpcye (61), apprehensye (60), inwitować (61) i t. d. z łacińskiego bardzo dużo. Wierozuby (62), bałakszyje (62), mahloch (76), rodela (126), wekier (127), freysztuk (154), speza (181), abuchty (192), pawiment (206), abszach (241) i t. d. Z drugiej strony są jednak słowa polskie czysto, dziś zatracone, nawet u Lindego nie zapisane. Najsolenniej na tem miejscu zapewniam, że kto słownik polski całkowity wydać zapragnie, nie pożałuje trudu, gdy poematy Twardowskiego przejrzy.

Ramy „Władysława IV" chociaż są znaczne, jednak za małe do tej treści, jaką w nie wpakował autor. Weźmy przykład. Połowa drugiej pieśni opisuje wojnę chocimską: z niej samej robi Wacław Potocki swój wielki poemat. Oczywiście w takich warunkach mógł Potocki rozsnuć doskonały koloryt, dać obraz jednolity, a wierny i barwny, mógł dać przynajmniej słaby przedblask epopei. Twardowski pozostał całkiem w sferze rymowanej historyi. On nawet tam, gdzieby się obeszło, jeszcze przyda kroniki: tak, zanim do sprawy Dymitra przystąpi, wyprowadzi dzieje Moskwy z dawnych, bardzo dawnych czasów, dziw, że nie od Adama i Ewy: tak, zanim do Cecory przyjdzie, wywodzi dzieje Wołoszczyzny od Kazimierza Wielkiego. Przytem szczegóły muszą być porządnie opowiedziane i systematycznie, jak historykowi przystoi. Najpierw wypowiedzenie wojny lub tylko jej przyczyny, potem przygotowania obustronne, taktyczne akcye, spotkanie wojsk, szyk bojowy, epizody, walki i tym ładem w dalszym ciągu, aż do rozejmu i wszystkich punktów pokoju. Głębszego ujęcia historyi nie ma. Są jej zewnętrzne, najbardziej huczne przejawy: wojny. Wszechstronnego obrazu życia narodowego nie ma. Jest jego jeden rys: wojny. Nawet ludzi, którzy siłą rzeczy cisnęli się pod pióro, nie charakteryzuje, jakby się tego pragnęło w imieniu prawa artystycznego. Jeden Władysław dokładniej, trochę Żółkiewski i Chodkiewicz. Darowałoby mu się bodaj żółci nieco np. dla Zygmunta, byleby dał jego sylwetkę. Ale on chwali wszystkich równo, pobieżnie, mimochodem i zbywa ludzi, o którychby się prosiło i pytało, jacy byli, paru słowami wzmianki.

Najpiękniejszymi ustępami są niektóre bitwy. Ładna dość jest cecorska, a taka smutna, taka bolesna, że, kiedy na jej koniec z żalu zapuszcza zasłonę, rozumiemy bardzo dobrze jego przejęcie się sprawą, które mu pióro wytrącało z ręki. Z entuzyazmem

opisuje śmiertelny bój kozackiego podjazdu, który na wołoskiej ziemi osaczony przez 150.000 Turków trzy dni się bronił, póki nie został wysieczony do szczętu.[1]) Zupełną słuszność Twardowskiemu przyznać trzeba, kiedy bohaterską walkę tej garstki przeciw tłumowi napastników do Termopil lub Maratonu przyrównuje. W wojnie moskiewskiej bitwę na Skowronkowej górze opisuje dobrze, barwnie i strasznie. Kiedy się takie ustępy czyta, kiedy się pomyśli, że tworzył je człowiek współczesny, z żywem, czującem sercem, dla którego stanowiły radość i szczęście, lub krwawiący ból i łzawy smutek, kiedy się pomyśli, że to wszystko było prawdą, nie zmyśleniem, nie mrzonką poetycznej fantazyi, ale naszą chwałą, przodków naszych bohaterstwem, chlubą naszej ojczyzny, wówczas chciałoby się zamknąć oczy na wszelkie błędy, niedostatki opowieści i przeniósłszy się myślą do szczęśliwszych czasów, czytać bez końca tę naszą wielkość głoszące wiersze.

Dr. Stanisław Turowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[1]) Punkt II.

KLUB PATRYOTYCZNY WARSZAWSKI

w czasach powstania listopadowego

(1830 — 1831).

(Ciąg dalszy).

XVIII.

Zapowiedź *Nowej Polski* o obchodzie Majowym nocy listopadowej. — Program uroczystości. — Generał-gubernator Krukowiecki w opałach. — Odezwa do Rządu Narodowego. — Odpowiedź Krukowieckiemu. — Klub patryotyczny mianuje Krukowieckiego swym członkiem. — Nowe kłopoty Krukowieckiego. — Zapytanie do Rządu. — Odpowiedź wymijająca. — Krukowiecki dozwala na obchód, lecz nie pod gołem niebem.

W N-rze 139 dziennika *Nowa Polska* z 25. maja 1831 r. zamieszczono ogłoszenie następujące:

„Towarzystwo patryotyczne „Bydź albo nie bydź“ postanowiło w dniu 29. maja odbydź półroczny publiczny obchód pamiątki wiekopomnej nocy 29. listopada, w sposób następujący: O godz. 5 po południu członkowie i publiczność zgromadzą się w amfiteatrze teatru łazienkowskiego. O godz. 6-tej prezydujący zagai uroczystość, następnie obok wzniesionego ołtarza wolności zabiorą głosy obywatelskie: ks. A. K. Pułaski, przy-

były z Wołynia obyw. Służewski, wice-prezes Ostrowski i obyw. Chodorowski, poczem nastąpi kantata z towarzyszeniem muzyki.

„Gdy godzina 7-ma ostatnia panowania despotyzmu w Polszcze uderzy, członkowie udadzą się do ogrodu belwederskiego, gdzie ob. wiceprezes Krępowiecki będzie miał mowę na cześć bohaterów belwederskich, poczem czytana będzie oda przez Sew. Goszczyńskiego. Zakończy pieśń „Cześć polskiej ziemi", przez wszystkich przytomnych śpiewana."

Dowiedziawszy się o takim programacie uroczystości generał gubernator stolicy, Jan Krukowiecki, zwrócił się do Rządu Narodowego z odezwą następującego brzmienia:

„W N-rze 139 gazety *Nowa Polska* ogłoszoną jest uroczystość, którą Towarzystwo patryotyczne obchodzić zamierza w Łazienkach i Belwederze d. 29. b. m. Ponieważ ani Łazienki, ani Belweder nie są własnością Tow. Patryotycznego, a Minister spraw wewnętrznych i policyi jest w obawie, że w bliskości lazaretów mogłaby mieć niebezpieczny wpływ na zgromadzenie, mam honor upraszać Rząd Narodowy, aby mnie o intencyi swej w tej mierze najrychlej zawiadomić raczył.

Gen. piechoty: *Jan hr. Krukowiecki.*"

Odpowiedź Rządu Narodowego brzmiała:

„W odpowiedzi na raport JW. Generał-gubernatora z d. 26. b. m. Nr. 5.865 względem uroczystości, którą tak nazwane Towarzystwo Patryotyczne obchodzić zamierza w Łazienkach i Belwederze, oświadcza Rząd Narodowy, że JW. Gen.-gubernator masz do tego prawo, władzę i moc potrzebną, a nawet obowiązek zaradzenia złym skutkom, jakieby takie zgromadzenie, osobliwie w bliskości lazaretu za sobą pociągnąć mogło.

Warszawa, 27. maja 1831 roku.

Prezes Rządu

w zast.: *W. Niemojowski.*"

Dowiedziało się Towarzystwo Patryotyczne przez swoich zaufanych, do sfer rządowych zbliżonych członków, o tej wymianie odezw między Rządem i Krukowieckim, chcąc więc zaszachować możliwe następstwa zakazu uroczystości majowej, na zebraniu nad-

zwyczajnem zamianowało generał-gubernatora swoim członkiem honorowym, o czem go bezzwłocznie zawiadomiło.

Ze swej strony Rząd Narodowy przez audytora generalnego uprzedził Krukowieckiego, iż istnienie Towarzystwa patryotycznego sprzeciwa się obowiązującym prawom.

Krukowiecki ambitny znalazł się w położeniu krytycznem i odezwą do Rządu Narodowego z d. 26. maja oświadczył:

„Uwiadomiony przez audytora generalnego, że stosownie do art. 1. i 2. Postanowienia z d. 6. listopada 1821 r. wszelkie towarzystwa są zakazane, a odebrawszy zawiadomienie, że Towarzystwo patryotyczne uczyniło mi zaszczyt obrać mnie Swym Członkiem honorowym, mam honor zapytać Rządu Narodowego, czyli z tego chlubnego mianowania korzystać mogę?

Gen. piechoty: *Jan hr. Krukowiecki.*"

Rząd Narodowy odpowiedział:

„Gdy postanowienie dawnego Rządu, z dnia 6. listopada, odnosi się do towarzystw tajnych i miało na celu osiągnięcie zamiarów dzisiejszemu Rządowi obcych,

„gdy Rząd Narodowy dotychczas obojętnie patrzał na istnienie stowarzyszenia, które tytuł Towarzystwa patryotycznego przybrało,

„zostawionem więc bydź powinno woli i rozpoznaniu JW. Gen.-gubernatora, czyli zechcesz należeć do Towarzystwa, które nie posiada dotąd zatwierdzenia rządowego.

„Doświadczenie JW. Generała w długiej i chlubnej dla niego służbie nabyte, Jego znane obywatelstwo i patryotyzm rzetelny są Rządowi Narodowemu rękojmią rezolucyi, jaką JW. Generał w tym względzie weźmiesz.

„Taką jest odpowiedź, którą Rząd Narodowy za najstosowniejszą uznał na Odezwę JW. Generał-gubernatora z dnia 26. b. m. Nr. 5.874.

Warszawa, 27. maja 1831 r.

Prezes rządu:

w zast.: *W. N.*"

Krukowiecki wybrał drogę pośrednią. Nie odrzucając ofiarowanej sobie godności członka klubu, zezwolił jedynie na odby-

cie uroczystości w murach gmachów stolicy, lecz nie pod gołem niebem, wskutek czego w programacie zapowiedzianym nastąpiła zmiana.

XIX.

Dwa obchody Majowe. — W sali akademickiej i redutowej. — Szyrma o rycerzach Ostrołęki. — Wiersz Oknińskiego. — Żart Gołka. — Hymn Czeczota. — W klubie. — Mowa Lelewela o konieczności rewolucyi socyalnej. — Kantata Stefaniego. — Mowa szewca Chodorowskiego. — Mowa Krępowieckiego.

W dniu 29. maja 1831 r. odbyły się dwa obchody, jeden urządzony staraniem prof. Szyrmy w sali uniwersyteckiej, drugi w salach redutowych staraniem prezesa klubu, Lelewela.

W Uniwersytecie prof. Szyrma starał się wykazać wpływ ducha narodowego na wypadki w rewolucyi, wspomniał z uwielbieniem o bohaterskich cieniach generałów Kickiego i Kamińskiego, poległych w krwawej bitwie pod Ostrołęką.

Humnicki odczytał poezye oklaskami przyjęte. Po nim p Okniński deklamował wiersz: „Wspomnienia chwil upłynionych“, tudzież przekład wiersza Delavigne'a „Do Polaków“. Grabowski czytał prozą dyatrybę przeciw arystokracyi skierowaną.

Wyrwał się z czytaniem, bez pozwolenia prezydującego, niejaki Gołek, członek Klubu patryotycznego, na temat: „być, albo nie być“ i dowodził, że się chce pożegnać z rodakami, iść na wojnę i dłużej w Warszawie „nie być“.

Przerwano mu sykaniem, tupaniem i śmiechem. Tymczasem rozpoczęto śpiewy. Jakaś dama odśpiewała wiersz „Do skowronka“ Suchodolskiego, nadesłany z pola bitwy.

Zakończono posiedzenie następującym życzeniem: „Cześć dla tych, którzy bohaterów 29. Listopada uznawszy za dzieci narodowe, zachowali rewolucyę od zguby i okazali się przez to prawdziwymi ojcami narodu. Niech żyją reprezentanci Polski!“

Wzniesiono również okrzyk na cześć tych, co w walce chlubne odnieśli blizny i co dla ojczyzny polegli. Hymn „Cześć polskiej ziemi“, odśpiewany chórem, zakończył uroczystość, na której był obecny marszałek sejmowy, wielu posłów i znaczna liczba dam.

Z kolei odbyło się posiedzenie Klubu patryotycznego pod prezydencyą Lelewela, który zagaił je mową, zapowiadającą konieczność rewolucyi socyalnej.

„Już pół roku mija — głosił Lelewel — od pamiętnej nocy 29. listopada, która dała hasło nowego w narodzie poruszenia. Nie same bliskie przyczyny na to wpływały, nie same nadużycia i gwałty, które osobistą wolność i narodowe uczucia dotykały. Dalsze są tego przyczyny, które w samym narodzie zdawna egzystują.

„Przed wiekiem Rzplta polska uciśniona klęskami i niedolą, osłabła, wpadła w niemoc i odrętwienie. Ledwie do uczucia przychodzić poczęła, dotknęły ją ciosy, które zjednały jej upadek. Wielokrotnie ponawiane usilności powstania narodu, na własnej i na obcej ziemi okazane, stały się głośne po całej kuli ziemskiej. Długo były one daremne. Los podźwignął to Księstwo Warszawskie, to małe królestwo, w których niejakie znaczenie narodu wskrzeszone było, ale brakowało niepodległości. Od pamiętnej nocy 29. listopada upomniał się naród o swój byt i swoją niepodległość. Sejm obecnie obradujący wielolicznymi aktami, przystąpił do powstania narodowego, powołał do tego powstania Naród, powołał braci naszych Polaków pod jarzmem rossyjskiem będących, którzy w Litwie, na Wołyniu, na Podolu i na Ukrainie porwali się do broni wspólnie z nami dobijać się niepodległości. Sejm i naród zarówno dały dostateczne dowody poświęcenia się i wytrwałości. Z Sejmu wynikły najświetniejszego patryotyzmu i najgodniejszego uznania decyzye; w Narodzie objawiła się nieograniczona wola wyswobodzenia. Dziś, albo nigdy! Nadeszła dla Narodu polskiego chwila, aby swego dopiął. Epoka tego ostatniego wysilenia, hasłem **powstania** stała się noc 29. listopada, zasługuje tedy na uroczysty obchód.

„Dźwigając się wśród Polski z poniżenia swego, niemniej począł ulegać **towarzyskim zmianom**. Głośna, nam zaszczyt i sławę przynosząca, a dziś niedość od nas znana i oceniona **konstytucya 3. Maja** jest niejako **początkiem rewolucyi socyalnej**, która się od tej daty bez przerwy toczy. W upadku swoim był naród rozerwany między trzy ościenne mocarstwa, a w tym upadku zachodziły w nim **socyalne odmiany**, które postęp rewolucyi popierały. Wzrastała mimo wszelkich przeszkód oświata, rozpowszechniała do wszelkich klas ludu i między ludźmi stosunki odmieniała. Zaledwie w Księstwie i Królestwie niejaki byt narodu ukazał się, aliści ten uzyskał konstytucyę, do-

wód jasny, że bez politycznego życia, naród polski egzystować przez się nie może. Konstytucye te nadały równe, polityczne i cywilne prawo całemu obywatelstwu jakiegokolwiek stanu. Dziś, obecnie obradujący Sejm pomyka dalej socyalne odmiany, popiera w narodzie towarzyską rewolucyę. Wziął on przed się los włościan, których ulepszenie bytu będzie znamienitym aktem rewolucyi socyalnej. Wkrótce połączą się województwa wschodnie z naszemi nadwiślańskiemi. Inny jest w tamtych stan socyalny, nieodzownem się tedy staje dalsze rozwinięcie się rewolucyi socyalnej. Kojarząc się jedne z drugiemi, kojarzyć będą swe socyalne porządki, im więcej są różne, tem więcej odmianie ulegać będą. Tak tedy pamiętna noc 29. listopada, stała się nowem hasłem rewolucyi socyalnej, w której od tak dawna naród postępował. Równie tedy i z tego powodu pamiętną się staje, zdarzeniem wielkiej wagi i godnem uroczystego obchodu.

„Obchodzimy ją tedy po upłynieniu półrocza, które było dowodem, ile wytrwałości, ile poświęcenia naród okazuje; obchodzimy tem posiedzeniem, w którem inni mówcy sławić ją będą.“

Po Lelewelu obywatel z Wołynia, Służewski w imieniu braci przemówił z zapałem.

Kantata, kompozycyi Stefaniego do słów Słowaczyńskiego, odśpiewana przez artystów Teatru Narodowego, pozyskała ogólny poklask. Wszedł następnie na mównicę sędziwy Roch Chodorowski, szewc, i głosem prostoty uczcił zasługi ludu polskiego i zakończył swą przemowę w słowach:

„Nie żądamy skarbów, ani też honorów, które prostota nasza śmiesznymi widzi. Mało chcemy... niech przecież w nas widzą ślepi a pyszni ludzie podobne sobie stworzenia. Niech spojrzą litośnie na ten nasz bratni lud wiejski, z tak bezprzykładną ochotą broni, poświęceniem życia, chyba tylko swojej nędzy i swoich nauczycieli: niech w przyszłości od tej rewolucyi świętej nie będzie na ziemi naszej pysznych panów, mieszczan i chłopów, ale tylko poczciwi Polacy, chociaż różniący się mieniem, ale jednakowi cnotami i obywatelską równością!“

Ksiądz Kazimierz Pułaski przedstawił w mowie swej obraz powstania i kampanii i zwracając się do Francuzów tą jedynie zapowiedział zemstę, że w złej doli Francyi, Polska za nią jeszcze krew przeleje.

Długą tę mowę podaje *Gazeta Polska* w Nr. 153. i 154. z r. 1831.

Tadeusz Krępowiecki zakończył uroczystość patryotyczną przemową, a obecni chórem odśpiewali: „Cześć polskiej ziemi".

XX.

Następstwa mowy jakobińskiej Lelewela. — Deputacya z Izby Sejmowej u Skrzyneckiego. — Tajna narada delegatów w sprawie rozwiązania klubu. — Protest Lelewela. — Rozłam w łonie klubu. — *Nowa Polska* w obronie Lelewela. — Dwie odezwy członków klubu, jedna, za jego rozwiązaniem, druga, za jego utrzymaniem.

Głos Lelewela, wieszczący konieczność rewolucyi socyalnej, nie przeszedł bez echa.

Deputacya wyznaczona z Izby sejmowej do Naczelnego wodza Skrzyneckiego dla wynurzenia uczuć wdzięczności za bohaterskie wysiłki armii narodowej, powróciwszy ze swej misyi, w d. 3. czerwca odbyła tajne posiedzenie, na którem, między innemi sprawami pilnemi, poruszyła sprawę zamknięcia klubu patryotycznego i skierowania jego członków do najważniejszej sprawy — obrony zagrożonej stolicy.

Dowiedziawszy się o owej naradzie, prezes Lelewel nadesłał w d. 4. czerwca do klubu protest następującej osnowy:

„Obywatele! Dowiedziałem się, że dnia wczorajszego, na zebraniu nadzwyczajnem, przez dwudziestu kilku obywateli, wyrzeczone zostało rozwiązanie Towarzystwa patryotycznego.

„Powołany w początkach rewolucyi życzliwością licznych obywateli do przewodniczenia tworzącemu się Towarzystwu, nie miałem dosyć czasu, dość często odwiedzać obrady. Wszakże z pełną ufnością w godność uczucia grona całego, polegając na szczerem wylaniu się każdego dla sprawy powszechnej narodu i ojczyzny żadnym krokiem, anim się wyparł, ani usunął od obywatelów, tak tych, którzy się rozbiegli w usłudze Ojczyzny, jak w miejscu obradujących. Nigdy w życiu do żadnych pokątnych stowarzyszeń nie należałem, ale z chęcią przystąpiłem do jawnych obrad obywatelskich. Dotykały nas ciężkie oszczerstwa i potwarze ale te ani na chwilę nie mogły zachwiać mojego dla obywatelskich uczuć zaufania, ani zwrócić z drogi, po której mnie przekonanie moje prowadzi.

„Podług mego przekonania, obywatele przypadkowo zebrani na nadzwyczajne posiedzenie, nie mogli w imię Towarzystwa wyrzekać ani o rozwiązaniu Towarzystwa. ani o zamknięciu. ani o zawieszeniu obecnych jego obrad. Podług mego przekonania. obywatele mogli o tym przedmiocie mówić, rozważać go, ale decyzya do zwyczajnego zebrania należała.

„Podług mego przekonania. na zwyczajnem obywatelów zebraniu można było wyrzec o zawieszeniu. o zamknięciu obecnych obrad Towarzystwa, ale rozwiązywać nikt nie ma prawa.

„Wiadomość o zadecydowaniu rozwiązania napełniła mnie niemałem strapieniem. Nie obawiam się. aby mnie obywatele posądzać mieli o jakie do tego z mej strony podniety, ale się lękam, aby nie mniemano. że na to przystać mogę. Gdyby się obecnie obradujących obywatelów wola powszechna objawiła. zawiesić, zamknąć obecne obrady. winienbym takową szanować i podpisać, ale o rozwiązaniu i bycie Towarzystwa nikt obecnie wyrzekać niema mocy i takiego aktu podpisywać nie mogę. Nie wpływałem na zawiązanie się Towarzystwa, rozwiązywać go nie mogę, ani do rozwiązania przystępywać. owszem. przeciw aktowi takiemu protestować się będę.

„Zdarzenie wczorajsze zbyt skwapliwie zaszłe, spowodowało mnie do niniejszego przełożenia na piśmie. abym wyraźnie i jawnie niepewności. jakieby o mojem w tej mierze przekonaniu zachodzić mogły, uchylił i o mojem jednostajnem postępowaniu wszystko obywatelstwo zapewnił.

Warszawa. 3. czerwca, piątek, 1831 r.

Lelewel Joachim.“

Zamiar rozwiązania klubu podał deputacyi sejmowej poseł Ledochowski. uzasadniając swój projekt jakobińskiemi zasadami stowarzyszenia, na którego czele stał Lelewel. Projekt ów był w związku z zamierzonem wywróceniem rządu i potrzeba zaprowadzenia w nim większej centralizacyi i energii.

Przeciw takim zamysłom powstał dziennik *Nowa Polska* w Nr. 149 z d. 5. czerwca 1831 r. w słowach:

„P. Ledochowski mówi sobie: Ponieważ Joachim Lelewel jest prezesem Towarzystwa patryotycznego, wyznającego jakobińskie zasady, a więc rząd wywrócić trzeba. Nie jesteśmy ślepymi wielbicielami Joachima Lelewela. Jesteśmy tylko sędziami czynów

i zasług ojczyźnie. Wszechstronna i wielka nauka Lelewela, jego patryotyzm wsławiony prześladowaniem, jego imię rozniesione po całej Europie, jego mnogie pisma nacechowane prawdą, miłością Polski i zbawiennemi zasadami, jego przeważny wpływ na wybuchnienie rewolucyi 29. list., jego nieskazitelny charakter, jego duma nie umiejąca ulegać żadnym względom i widokom, żadnym obawom, jego nareszcie wielkie przekonanie, że to, co działa i mówi, Polskę może zbawić, to wszystko p. Ledochowski umiał wykrzywić i znieważyć...

„P. Ledochowski woła, że Towarzystwo patryotyczne ma jakobińskie zasady. Jakież ma dowody? Posiedzenia nie sąż publiczne? Ustawy, czy są tajemne? Jeżeli p. Ledochowski, nie mając dowodów, rozsiewa tylko podejrzenia, jeśli nie mogąc wynaleźć winy, twierdzi, że wina być może, jeśli własne domniemania za zbrodnie Towarzystwu poczytuje, musimy powiedzieć, że p. Ledochowski nadaje fałszywy kierunek swemu patryotyzmowi, że nie jest patryotyzmem znieważać swoich ziomków, zohydzać wielkie imie i nazywać bezprawnem Towarzystwo, którego nasze prawo nie tylko nie zabrania, ale dozwala.

„P. Ledochowski dalej przemówił wyrazy socyalna rewolucya... Rozumież on, co jest rewolucya socyalna? Zaręczamy, że nie pojmuje. Rewolucyą socyalną miała Francya. Widziała domowe rozboje i rabunki, lecz historya, lecz rozum dał zupełne rozgrzeszenie rewolucyjnej Francyi. Francya spełniła wielkie zbrodnie, prawda, lecz zmuszona była walczyć przeciw sprzymierzonym tronom, przeciw domowym potwarzom i nieprzyjaciołom, rozwinęła okropną energię, rozkiełznała wszystkie namiętności. Lecz Francya ocaliła cywilizacyę Europy, własną niepodległość, wszystkie święte i zbawienne zasady swej rewolucyi, dziś będące i własnością i życzeniem Europy!“

Tego rodzaju poglądy i zaniepokojenie opinii publicznej zapowiedzią przewrotu w stosunkach socyalnych narodu walczącego o niepodległość, wywołały w łonie klubu patryotycznego rozłam.

Znaleźli się członkowie, którzy walkę z istniejącym porządkiem rzeczy, przy pomocy klubu, uznali za zgubną i dnia 2. czerwca na zebraniu nadzwyczajnem uchwalili klub rozwiązać.

Obwieściły o takiem postanowieniu niektóre dzienniki w słowach:

„Towarzystwo patryotyczne po wysłuchaniu mowców swoich stanowi: Towarzystwo patryotyczne jest rozwiązane i nie istnieje.

„Działo się na posiedzeniu Towarzystwa, dnia 2. czerwca 1831 r.

Wiceprezes: *Tadeusz Krępowiecki.* Sekretarz: *W. Kazimirski.*"

Tymczasem inne stronnictwo, zaprotestowawszy przeciw takiej uchwale, nadesłało do redakcyi *Gazety Polskiej* odezwę następującego brzmienia:

„Towarzystwo patryotyczne ma zaszczyt donieść, iż na posiedzeniu swojem zwyczajnem, d. 3. czerwca 1831 roku, ustanowiło, że zebranie się niektórych członków w dniu 2. czerwca, na którem zamyślano rozwiązanie Towarzystwa, ma za nieważne i nie byłe.

„W Warszawie, na ogólnem zwyczajnem posiedzeniu Towarzystwa, 3. czerwca 1831 r.

Prezydujący: *Walenty Zwierkowski.* Za sekretarza: *Ks. Kazimierz Al. Pułaski.* (*Nowa Polska,* Nr. 151 z r. 1831).

XXI.

Rząd Narodowy przeciwdziała dążnościom jakobińskim klubu urządzeniem obchodów narodowych w ogrodach Krasińskim i Saskim 5. i 12. czerwca 1831 roku. — Wojsko i lud. — Biesiada i toasty. — Uczta w ogrodzie Saskim. — Chorągwie i napisy. — Generalitet polski. — Toast Skrzyneckiego. — Toast kasztelana Niemcewicza. — Toast księcia prezesa Czartoryskiego na cześć Warszawy.

Pamiętamy dobrze urządzony za dni naszych 5. listopada 1905 r. wspaniały pochód narodowy przez ulice Warszawy. Miał on być i był w rzeczy samej godłem ruchu, skierowanego przeciw wybujałym dążnościom stronnictwa, które wolność w znaczeniu ogólno-ludzkiem stawiało wyżej nad aspiracye do niepodległości politycznej i samowiedzy narodowej, opartej na tradycyi.

Takiego środka przeciwdziałania budzącemu się ruchowi socyalnemu za przewodem klubu patryotycznego, użył Rząd Naro-

dowy w d. 5. czerwca 1831 roku, urządziwszy ucztę dla wojska w ogrodzie Krasińskich.

O godz. 2-giej z południa zastawiono tam liczne stoły dla oficerów i żołnierzy wszelakiej broni. Gwardya narodowa obsługiwała walecznych bojowników. Muzyka porozstawiana na trawnikach przygrywała, po obiedzie zaś i po licznych toastach rozpoczęto tańce. Wkrótce cały ogród zamienił się w jedno koło tańczących. Niewiasty wszystkich stanów przyjęły w tej zabawie udział. O godzinie 7-ej bębny wezwały wojowników do obozu. W porządku opuścili oni miejsce zabawy, pożegnawszy gościnnych gwardyaków narodowych.

Świetniejszą jeszcze była uczta w ogrodzie Saskim 12. czerwca. Zaproszono tu 250 oficerów wszelkich stopni i 3200 żołnierzy. Zastawiono pod lipami olbrzymie stoły. Sędziwi weterani przypomnieli sobie wtedy uroczystość, gdy w ogrodzie Saskim po ogłoszeniu konstytucyi 3. Maja. Stanisław Sołtyk zgromadził około siebie patryotów, autorów wiekopomnej ustawy, a młodzież przy blasku księżyca radziła nad losami Ojczyzny.

W środku ogrodu urządzono piramidę, ozdobioną zdobycznemi chorągwiami z napisami: „W imię Boga za naszą i waszą wolność!“ i tarczą, na której wypisano pola bitew niedawno zwycięsko stoczonych. Orkiestry grały pieśni narodowe.

Przy oddzielnym stole zasiedli: wódz naczelny Skrzynecki, członkowie Rządu narodowego, marszałek Sejmu, wielu posłów, kasztelan Niemcewicz i minister spraw wewnętrznych.

Dowódca gwardyi narodowej, wojewoda Ostrowski wzniósł szereg toastów: zdrowie bohaterskiego wojska, Naczelnego wodza, Rządu narodowego, posłów, pierwszego grenadyera gwardyi narodowej polskiej i zdrowie Polek.

Naczelny wódz wzniósł zdrowie gwardyi narodowej i jej dowódcy, następnie zdrowie księcia prezesa Rządu narodowego. Ósmy toast wygłosił marszałek Sejmu na cześć bohaterskiego wojska.

Kasztelan Niemcewicz wzniósł zdrowie obywateli Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy, na to odpowiedział naczelnik powstania wołyńskiego, Dominik Stecki.

Dziesiąty toast wzniósł prezes Rządu narodowego Czartoryski na cześć Warszawy, pierwszego ogniska powstania.

Po uczcie zaczęły się śpiewy i tańce. Znikła wszelka różnica stanów. Posłowie wdali się w rozmowę z wiarusami. oddawali cześć ich męstwu i wytrwałości.

O godzinie 7-mej ozwały się bębny, wzywające wojsko do obozu. Okrzyk wielu tysięcy zgromadzonego ludu pożegnał obrońców Ojczyzny. Nie pilnowały ich straże bezpieczeństwa. Obchód cały odznaczał się uroczystym nastrojem i porządkiem i niezatarte w sercach ludności warszawskiej pozostawił wrażenie.

Alexander Kraushar.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z życia domowego szlachty sandeckiej w epoce Wazów.

(Ciąg dalszy).

Panowie rajcy pomyśleli także o ugoszczeniu wielmożnego pana starosty. Pod przewodnictwem sławetnego Sebastyana Żmijowskiego, rewizora wina, zapuścili się w podziemia królewskiego miasta swego, aby zobaczyć składy daru Bożego, którym Stwórca węgierskie nasze sąsiady wyposażył i wyszczególnił przed innymi narodami. I znaleziono w mieście 23 składy węgierskiego wina, a w nich beczek 334. Obejrzawszy się tedy po owych składach, mianowicie między beczkami Bonpaula Węgrzyna, wybrali panowie rajcy maślacza czteroputowego, t. j. takiego, gdzie na jedną beczkę moszczu wchodziło 4 putni wyśmienitych rodzynek, i ugodzili ją za 150 złp.

Witając tedy pana starostę, ofiarowali mu ją w dowód uniżoności swej i posłuszeństwa i radości z przybycia, poczem w rejestrze wydatków nadzwyczajnych zapisano: „Na przywitanie Imci pana starosty darowaliśmy beczkę wina za półtorasta“. Starszy dworzanin starosty dostał ciepłą ręką honorarium talerów twardych 10, czyli 30 złp., aby się przyczyniał za miastem i rajców jego pańskiej łasce poufnie polecał, a wpływem swoim biednych ludzi od ciężarów ochraniał.

Załogę miasta stanowiło mieszczaństwo, obowiązane bronić miasta swego w czasie wojennych napadów. Każdy cech miał sobie przydzieloną basztę, czyli wieżę miejską, w obrębie murów warownych, która raz na zawsze miała być opatrzoną w strzelbę, t. j. broń palną, tak ręczną jako i wałową, proch, kule i wszelki rynsztunek wojenny. W celu wprawiania mieszczan do broni, odbywano cztery razy do roku podczas jarmarków ćwiczenia wojenne, czyli okazowania zbrojne albo monstry. A to pogotowie wojenne nie było wcale zbytecznem, kiedy zbójcy podgórscy napadali jarmarki, hałaśliwa zaś szlachta, zjechawszy do miasta, dopuszczała się różnych wybryków i nadużyć.

Zapraszano wtedy do regimentowania świadomego wojenki mieszczanina, lecz najczęściej szlachcica, osiadłego w mieście; najbardziej jednak radzi byli mieszczanie iść pod rozkazy jakiego porucznika lub rotmistrza, jeżeli właśnie przebywał w mieście lub przejeżdżał, a dał się uprosić. Wdzięczne miasto Jego Królewskiej Mości nie zapomniało też ugościć panów wojskowych, zapisując to do księgi wydatków. I tak w r. 1644 zanotowano: „Przed wyjazdem chorągwi dragańskiej z miasta, rotmistrzowi i oficerom, którzy byli przy monstrze generalnej miejskiej, dało się kontentacyi 3 garnce wina za 6 złp." W r. 1651 „dla pana Krzesza, regimentarza na okazyi, za półgarnca wina 1 złp. 6 gr." Czasami, jeżeli stała dragonia w mieście, używano dobosza od dragonii, jak w r. 1644, gdzie zapisano: „Doboszowi dragańskiemu podczas monstry miejskiej, także trwog węgierskich,[1]) za pracę 1 złp. 3 gr." W czasie monstry strzelano do tarczy, a zaszczycał ją niekiedy obecnością swoją sam starosta grodowy, n. p. w r. 1648 Konstanty Lubomirski, wraz z małżonką swoją niedawno poślubioną, Barbarą Domicelą ze Szczawińskich, wojewodzianką brzesko-kujawską, oraz liczną szlachtą, grodzką i ziemską.

Nie sami jednak mieszczanie ze szlachtą przychodzili na monstrę wojenną. W groźnych czasach wojennych brali w niej czynny udział także chłopi, poddani wsi miejskich. Miasto rade im było i raczyło ich piwem. Tak n. p. w r. 1655 zanotowano: „Panom mieszczanom, którzy na monstrę wychodzili, według dawnego zwyczaju na achtel piwa 4 złp. 10 gr.; chłopom, którzy na monstrę przyszli z innych wsi, na achtel piwa 4 złp. 10 gr.;

---

[1]) Z powodu morowego powietrza, grasującego wówczas na Węgrzech.

dla panów kolegów,[1]) gdy z monstry przyszli, za 2 garnce wina 3 złp. 6 gr.; dla regimentarzów, którzy byli na monstrze, za półgarnca wina 24 gr." — Podobny zapisek znajduje pod r. 1656: „Za 3 achtele piwa na jeneralną monstrę: jeden dla panów mieszczan, drugi dla przedmieszczan, a trzeci dla wsianów *(sic)*, aby accedente aliquo casu ochotniej szli do murów i obrony, 12 złp.; dla panów kolegów, którzy na tejże monstrze prezydowali, za 3 garnce wina 6 złp.; dla dwóch regimentarzów półgarnca wina 1 złp.; na piwo dla różnych osób znaczniejszych, którzy byli praesentes przy tej monstrze, 18 gr."

Takie okazowania zbrojne zaprawiały mieszczaństwo do szermierki wojennej, a w czasie najazdu szwedzkiego zostały pomyślnym uwieńczone skutkiem. Z początkiem października 1655 r. wkroczyli wprawdzie Szwedzi do Nowego Sącza, pod wodzą pułkownika Jerzego Forgwella, lecz niedługo w nim utrzymać się zdołali. Różne grabieże szwedzkie, a jeszcze bardziej wieść o zniewaźeniu przez tych wrogów grobów kollegiaty — wskutek zdrady szlachcica, Floryana Siemichowskiego,[2]) który niedługo przedtem (1652) porzucił Aryan i był ochrzczony w Bruśniku, a teraz znów powrócił do nich i połączył się ze Szwedami — lotem błyskawicy rozeszła się po całej okolicy i rozjątrzyła całą ludność do ostateczności. W mieszczanach sandeckich zakipiała rycerska krew przeciw łupiestwom szwedzkim. Chwycili więc za broń, a przy pomocy włościan z Nawojowej, Podegrodzia i Brzeznej, pod dowództwem braci szlachty: Jana i Krzysztofa Wąsowiczów, oraz Felicyana Kochowskiego,[3]) zadali Szwedom najzupełniejszą klęskę 13. grudnia 1655, i wyparli ich z miasta.

---

[1]) To jest dla rajców (consules) i ławników (scabini) miejskich. Zarząd bowiem miasta spoczywał w ręku rajców, z burmistrzem (proconsul) na czele; sądownictwo zaś w ręku ławników, pod przewodnictwem wójta (advocatus). Wybory tak rajców, jak i ławników odbywały się corocznie na ratuszu, zwykle w lutym. Przewodniczył tym wyborom czasami sam starosta grodowy, lecz najczęściej jego podstarości, burgrabia zamkowy, dworzanin lub inny jaki znakomity szlachcic, wraz z inną szlachtą asystującą.

[2]) Pojmany potem i oddany sądowi wójtowskiemu, musiał dać głowę pod topór kata, na środku rynku pod pręgierzem, 22. grudnia 1655. Pogrzebiony za murami miasta na miejscu tracenia złoczyńców; burmistrz zaś, Jan Marcowicz, zapisał w księdze wydatków: „Exekurowi od exekucyi Siemichowskiego, co zrabował groby u fary i nawodził Szwedów, 3 złp."

[3]) Dowódca piechoty nawojowskiej, stryj Wespazyana Kochowskiego, historyka-poety († 1700).

Nawet w uroczystościach kościelnych spostrzegamy pewną łączność i korzenie się przed Panem Zastępów szlachty wspólnie z mieszczaństwem. Jeżeli każdej uroczystości kościelnej towarzyszyły bębny i trąby, to na obchody Bożego Ciała wszystko, co tylko mogło dodać okazałości, spoiło się z sobą. Całe miasto wraz z szlachtą grodzką wyroiło się w najlepszych szatach. Cechy stanęły pod bronią z regimentarzem i chorążym na czele, a działa ponabijane przygotowano po basztach lub na wałach miejskich. Ołtarze przybrano w obrazy i różnobarwne firanki, drogi umajono brzeziną, uwieńczoną w kwiaty, całą zaś drogę, którędy po rynku obnoszono Przenajśw. Sakrament, wysadzono szpalerem zielonych drzew, zwykle z brzóz jedna przy drugiej, i wysypano szuwarem.

Podczas tego obchodu „puszkarz puszczał strzelbę", t. j. dawał ognia z muszkietów i półhaków, a równocześnie odzywały się salwy armatnie; dobosze bębnili, trębacze trąbili, regimentarz zaś regimentował piechotą miejską. Jeśli możliwem było, zapraszano na tę uroczystość trębaczy i dobosza od dragonii, lub innego wojskowego, a kantor zaciągał muzyków i śpiewaków, zaco wszyscy odbierali stosowne honorarya. I tak w r. 1628 „w dzień Bożego Ciała dla ozdoby procesyi i chwały Bożej, dało się porucznikowi, który regimentował pospólstwem, 2 chorążym, 2 bębenistom, 2 puszkarzom i trębaczom kontentacyi 3 złp. 7 gr." — W r. 1638 „trębaczowi, korneciście i puzanistom dwom, którzy grali w procesyi Bożego Ciała, kontentacyi 1 złp." — W r. 1647 „dla trębaczów Imci pana starosty, którzy trąbili w procesyi Bożego Ciała, dano na miód 1 złp. 6 gr.; dla szyposzów jegomości starosty w tenże dzień na miód 1 złp. 6 gr.; regimentarzom miejskim kontentacyi wedle zwyczaju pod tenże czas 18 gr.; kantorowi według dawnego zwyczaju 2 złp.; bębeniście 12 gr."

Ostatnim objawem dobrych stosunków pomiędzy szlachtą a mieszczaństwem, było wzajemne pożyczanie pieniędzy, spółki handlowe wina i sukna, oraz pobieranie towarów na kredyt lub zastaw. Stosunkowi temu poświeciłem dwa poprzednie rozdziały, gdzie zestawione szczegóły wyjaśniły rzecz dostatecznie.

ROZDZIAŁ V.

Pieniactwo i awantury.

1. Piotr z Rożnowa Rożen, dziedzic Mogilna i Koniuszowej, był wybitnym typem szlachcica pieniacza, jak świadczą rozliczne protesty i reprotesty przeciwko niemu, w aktach grodzkich sande-

ckich i ziemskich czchowskich. Ks. Mikołaj Gliński, pleban mogilski, dopominał się zaległych pieniędzy kościelnych u Jana Karczmarza, poddanego Rożna. Rozgniewany o to pan dziedzic, wpadł na plebanię z bronią w ręku 25. lipca 1621. a dobywszy szabli, płazował nią księdza po plecach. Nie dość jeszcze złego. Tego samego dnia, gdy ksiądz Gliński szedł do kościoła w zamiarze odprawienia nieszporów przed uroczystością św. Anny, oraz rozpoczęcia jubileuszu, nadanego od papieża Grzegorza XV., zastąpił mu drogę pan Rożen ze swymi hajdukami dworskimi. Kazał go porwać przemocą i rozciągnąć na ziemi, a potem wraz z nimi bił go nielitościwie, deptał nogami i piersi jego kolanami potłukł, przyczem ostrogami poranił mu wargi, ręce i nogi, sutannę zaś kapłańską podziurawił i poszarpał, wreszcie odebrał mu klucze kościelne i zamknął przed nim kościół. Na to barbarzyńskie widowisko patrzali ze zgrozą parafianie mogilscy wraz ze szlachtą, bardzo licznie w tym dniu zebrani, z powodu rozpoczęcia jubileuszu świeżo ogłoszonego. Tak haniebnej zniewagi, wyrządzonej osobie duchownej z pogwałceniem praw Boskich i ludzkich, trudno było zamilczeć i puścić bezkarnie. Dlatego znieważony kapłan wniósł bezzwłocznie skargę do grodu sandeckiego i do sądu ziemskiego w Czchowie, ten zaś w imieniu króla Zygmunta III. skazał Rożna na karę 1.000 grzywien (1.600 złp.) i przeproszenie księdza.[1])

Nader uprzykrzone sąsiedztwo miał też Nowy Sącz z tym Piotrem Rożnem, który od r. 1626 ciągle wrębywał się w miejskie lasy w Paszynie i ustawicznie miedze swoje rozszerzał. Z tego powodu zanoszono nieraz przeciwko niemu żałobę, już to do grodu sandeckiego, już to do sądu ziemskiego w Czchowie,[2]) a nawet do trybunału w Lublinie. Nieczuły pan Rożen na te wszystkie protesty i żale, jakby w odpowiedzi na nie, kazał po dawnemu poddanym swoim najeżdżać miejskie lasy i wyrębywać w nich drzewo. Ale i miasto pamiętało o sobie. Wójtowie wsi miejskich: Paszyna i Piątkowej, nie dla pozoru tylko odprawiali rok rocznie prawo rugowe[3]) i ćwiczenia wojenne z parobkami obu gmin. A skoro panowie rajcy rozkazali strzedz lasu, to obaj wójtowie, zwoławszy co śmielszych, obskoczyli mogilskich najezdników, i jak niepy-

---

[1]) Act. Castr. Sandec. T. 115, p. 908—910. Act. Terrestria Czchow. T. 32, p. 157—159.

[2]) Act. Terrestr. Czchow. T. 57. p. 108.

[3]) Od niem. Rüge, Rügen — urzędowe badanie, roztrząsanie, sądzenie spraw poddanych miejskich.

sznych, razem z wozami i wołmi przywodzili do miasta. Panowie zaś rajcy odstawiali ich do grodu, jako corpus delicti, protestowali uroczyście, a gród wysyłał woźnego na miejsce w celu oglądania i sprawdzenia poczynionych szkód. Pan Rożen oczywiście nie stawał na pozwy, więc podpadał kontumacyi: wycinał las dalej, jak przedtem, a rajcy z mieszczanami znowu musieli po staremu bronić swej sprawy.

Taki stan rzeczy trwał niezmiennie aż do r. 1630, z tą tylko różnicą, że pan Rożen począł sobie przywłaszczać nawet grunta miejskie. Miasto obwieściło swój żal i zaniosło skargę do Stanisława Lubomirskiego, wojewody ruskiego, swego najbliższego sąsiada w Nawojowej, zapraszając go na oględziny granic paszyńskich. Tymczasem posłano do Paszyna biegłego malarza, który narysował mapę lasu i miedzy, zaco dostał 15 gr. Pan Rożen, widząc takie przygotowania, zaprotestował przeciwko miastu i jego zabiegom. Zjechał wreszcie uproszony pan wojewoda wraz z prawnikami 1631 r. W jego przytomności Andrzej Jordan, komornik graniczny, oglądał miedze, a pisarz spisał protokół, poczem malarz sporządził nową, dokładną mapę. Przy tej komisyi odwoływało się miasto na przywilej księżnej Gryfiny, wdowy po Leszku Czarnym, pani sandeckiej ziemi z r. 1299. A iż był pisany trudną staroświecką łaciną, dano Maciejowi Tessarowiczowi od przepisania tego średniowiecznego dokumentu 1 złp. Długi ten proces kosztował miasto przeszło 200 złp.; sam komornik graniczny wziął za swój trud 100 złp.

Gdy w r. 1633 rozkazał Rożen siłą i przemocą zaorać miedze miejskie, gród wytoczył śledztwo na miejscu. W tym celu kazano stanąć poddanym miejskim, gród zesłał woźnego i kilku z pomiędzy szlachty, miasto zaś rajców i mieszczan. Tym razem wielmożny Rożen stanął ze zbrojną czeladzią, chcąc gwałtem swego dokazać. Jakoż rozpoczął ustną walkę z mieszczanami, a potem rwał się do korda. Lecz panowie z grodu, widząc niesłuszność uroszczeń jego, stali mocno przy mieszczanach, a nawet oświadczyli wyraźnie, iż oręż orężem odeprą, i byli na to przygotowani. Tak więc pan Rożen, rad nie rad, musiał na razie ustąpić. Ale niedługo trwała owa pozorna ugoda, bo to już taka była nieszczęśliwa przywara tych panów Rożnów, że od czasów Zygmunta Augusta prawowali się ustawicznie o miedze to z miastem, to z opactwem sandeckiem Premonstratensów. Nie dziw przeto, że i obecny graniczny spór powtarzał się jeszcze niejednokrotnie w na-

stępnych latach 1635—1645.[1]) Raz po raz zasięgano rady u biegłych prawników, to w Krakowie, to w Lublinie, w Warszawie, a nawet Piotrkowie, co wszystko połączone było z niemałym kosztem i trudem podróży. Dla lepszego bowiem poparcia słuszności, posyłano tam prawnikom po baryłce dobrego wina, łososie, cienkie lniane płótno i pieniądze gotowe. Sąd ziemski czchowski i trybunał lubelski wydawał ciągle swoje wyroki pod groźbą grzywien, a Piotr Rożen po swojemu contumax, wycinał sporny paszyński las. Trwało to aż do jego śmierci 1647 r.

Sprzykrzyły się wreszcie jego spadkobiercom te spory i zatargi z miastem. Za pośrednictwem Konstantego Lubomirskiego, starosty grodowego, tudzież za wdaniem się okolicznej szlachty, stanęło piśmienne pojednanie, jak Bóg przykazał, na rozum i sumienie, przepisane na czysto ręką chłopca aplikanta,[2]) który dostał zato 10 gr. na orzechy.

Skoro więc stanęła ugoda z panami Rożnami, Stanisław Kopeć dał najprzód na wotywę i ubogim jałmużnę, co razem wynosiło 2 złp. Poczem z lekkiem już sercem zdał Marcinowi Frankowiczowi swoje burmistrzowskie urzędowanie i wyprawił go do Paszyna na ostateczną ugodę. Wraz z nim pojechało kilku panów przyjaciół rycerskiego stanu, zaproszonych umyślnie do tej sprawy i ugody granicznej, oraz kilku mieszczan obok ks. Szymona Jaroszowskiego, prepozyta kollegiaty, Walentego Włockiego, regenta kancelaryi grodzkiej, i jego pisarza. Ugodziwszy się o granicę, sypano nowe kopce. Przytomny woźny sądowy obwieszczał światu i gromadom zebranym granice nowe, a każdy kopiec oblewano, t. j. panowie rajcy pili na zdrowie swoje i trwałość sąsiedzkiej granicy i zgody, a skoro wypróżnili jaki gąsior, to go stłukli, a czerepy szkła wedle starego obyczaju zagrzebywali w sam rdzeń kopca, jako signum metallicum, wraz z kawałkami żelaza, jak świadczy o tem transakcyjny dokument sądowy. Poczem małych chłopców bez wszelkiej ceremonii kładziono na kopcu i, aby pamiętali w późne lata, gdzie granica między Paszynem a Mogilnem, sypano im po kilka serdecznych batów, a na basarunek[3])

[1]) Act. Terrestria Czchov. 1634—1639. Tom 37, gdzie 13 rozpraw sądowych, dotyczących Rożna a rajców sandeckich odszukać i odczytać można.

[2]) Aplikant — sposobiący się do czego, ćwiczący się praktycznie w prawach.

[3]) Z niem. Besserung — nagroda za bicie, nawiązka.

dawano miodowniki na osuszenie łez, bo taki był poważny staropolski zwyczaj sypania kopców i batów kopcowych.

Po skończonej ugodzie nastąpiła suta biesada: samych ryb słonych: śledzi i wyziny, tudzież świeżych: karpi, szczupaków i śliżyków, spożyto za 24 złp. 26 gr., wina zaś wypito 15 garncy za 40 złp. Prócz tych wydatków na wspólną biesiadę, popłaciło miasto także honorarya i opłaty sądowe. Księdzu prepozytowi darowano pięknego łososia za 7 złp. 18 gr.: regentowi kancelaryi grodzkiej kontentacyi 30 złp.: a pisarzowi grodzkiemu za trud i drogę wyliczono talerów kopowych 10 czyli 18 złp. Wszystkie zaś poszczególne wydatki owej ostatecznej granicznej ugody, wynoszące wraz z biesiadą ogółem 173 złp. 13 gr., wpisano do księgi rachunkowej: „Percepta et Distributa“.

2. Wojciech Kostecki, chociaż ze szlachty pochodził, przyjął jednak prawo miejskie w Nowym Targu i ożenił się z mieszczką, wdową po Józefie Słowiaku, który kupią soli z Wieliczki na Orawę i Liptów, dorobił się majątku. Za rządów podstarościego, Wiktoryna Zdanowskiego, wybrany był ławnikiem nowotarskim 1618 r., a później wójtem. Nie zapominał też nigdy pisarz miejski podpisywać go w aktach: nobilis, podobnie jak jego poprzednika, Samuela Łużeńskiego.

W r. 1630 przeniósł się do Nowego Sącza, gdzie przyjmując prawo miejskie, przysięgał według zwyczaju, iż we dnie czyli w nocy posłusznym będzie rozkazom panów rajców i ławników. Nie szczerze jednak przysiągł!

Kupił on dom przy ulicy polskiej i wnet go zadłużył Janowi Ziębie w 200 złp., żona zaś jego osobno w 100 złp. Nadszedł czas zapłaty, której wcale nie uiszczał, więc Zięba zapozwał go sądownie. Kostecki nie stanał na termin i upadł w prawie. Zapadł zatem wyrok, aby Zięba wszedł w posiadanie jego domu.

Kostecki, ufając w szlachectwo swoje, lekceważył sobie wójtowski wyrok, po trzykroć według obyczaju na miejscu ogłoszony. Owszem drwił sobie z sądów miasta i wójta, a drobna szlachta sandecka wtórowała temu. W końcu jednak poszedł na ratusz, nie po to, żeby się poddać wyrokowi, lecz aby zaprotestować przeciwko niemu. Podał tedy piśmienne zastrzeżenie, że nie podlega sądom wójtowskim, z tej przyczyny, że jest szlachcicem. Owszem, oświadczył powtórnie, że przy swych wolnościach szlacheckich mocno stoi i żadnego sądu miejskiego nie uznawa nad sobą. Długu jednak nie zaprzeczył: za żonę odpowiadać nie chciał, ani osoby swej więzić nie dozwalał.

Sędziwy wójt, Tomasz Pytlikowicz,[1]) przypomniał mu przysięgę złożoną na posłuszeństwo sądom miejskim, i to we dnie czy w nocy; przypomniał małą wartość połowy domu, którą Ziębie oddaje, przypomniał lekceważenie powagi miejskiej i pomimo protestu i odwołania się do szlachectwa, zawyrokował nań więzienie ratuszne przystojne, chociaż za kratą w skarbcu miejskim gdzie miał pozostać aż do zupełnego spłacenia długu.

Uwięzienie Kosteckiego rozgniewało szlachtę osiadłą w mieście, która postanowiła uwolnić go koniecznie. Mikołaj Chronowski, podpisek[2]) grodzki, ulegając namowom drugich, rozkazał hajdukom zamkowym, aby odbili kłódki i uwolnili więźnia. Posłuszni dwaj hajducy starościńscy, zawezwali do tego ślusarza, Wojciecha Częstochowskiego. Ten myśląc, że chodzi o odbicie kłódki u wieży zamkowej, nakłonił się ochotnie. Ale skoro spostrzegł, że go do ratusza wiodą, wzbraniał się i wymawiał mocno. Lecz hajducy imieniem pana starosty nalegali gwałtownie, a w razie nieposłuszeństwa grozili mu odstawieniem na zamek. Trudna rada! Ślusarz odbił kłódki ratuszne, a Kostecki wyszedł sobie swobodnie. Nazajutrz wszyscy rajcy i ławnicy uroczyście zaprotestowali przeciwko takiemu pogwałceniu prawa i bezpieczeństwa, i orzekli na niego banicyę, czyli zupełne wydalenie z miasta.

Kostecki był poprzednio ławnikiem nowotarskim, więc czuł dobrze, że niema żartów z takim wyrokiem, gdyż tu chodzi o gardło. W rok niespełna sprzedał swój dom za 500 złp. Katarzynie z Młodatycz, wdowie po Mikołaju Kamieńskim, a pospłacawszy swe długi, myślał o powrocie do Nowego Targu. Jedna jeszcze sprawa wiązała go z Sączem.

Mikołaj Żmijowski pożyczył był u niego pieniędzy na wino, kupione od Macieja Filka w Kezmarku, i nie chciał mu oddać, opierając się na tem, iż wyjętemu z pod prawa nie powinien stawać do sądu. Rady innej nie było, jak uniżyć i poddać się napowrót miastu, tem bardziej, że także Jan Zięba i Stefan Cholewicz mieli swe żale przeciwko niemu. Tych więc najprzód przeprosił Kostecki, a potem wójta i rajców. Ławica sądowa uniewinniła go ostatecznie i odwołała wyrok, który woźny obwieścił donośnym

---

[1]) Długoletni rajca (1619—1636), lubiany i szanowany powszechnie majster krawiecki, używany do różnych poselstw w sprawach miejskich do króla.

[2]) Pomocnik pisarza grodzkiego, urzędnik niższy kancelaryjny, zajęty wyłącznie wpisywaniem aktów.

głosem: „iż Wojciech Kostecki wydarty jest z nieprzyjaciół mocy i przywrócon objęciom przyjaciół...“ Teraz dopiero mógł wystąpić przeciwko Żmijowskiemu i za dług swój zagrabić mu wina złożone w piwnicy Jana Zieby.[1])

3. Anna Wielogłowska, wdowa po Samuelu, mieszkała w Nowym Sączu przy swej córce Konstancyi drugich gód Przytkowskiej, której pierwszy mąż, Stanisław Zawistowski, zapisał 1.000 złp. oprawy (posagu) na kamienicy Smoczowskiej, przy ulicy młyńskiej. Wojciech Łopacki był właściwym tej kamienicy dziedzicem, mając za żonę Magdalenę, córkę Jerzego i Jadwigi ze Smoczów Kłodawskich. Z człowiekiem tak burzliwym i zaczepnym, jak on, trudne było sąsiadowanie, a tem bardziej szlachciankom Wielogłowskim, krewniaczkom Marcina Wielogłowskiego, podwojewodzego sandeckiego. Gwałtowny Łopacki, żywiąc niechęć w sercu do energicznego podwojewodzego, szukał ciągle zaczepki, a wnet nadarzyła się do tego sposobność.

Pani Wielogłowska, nie mogąc znieść dłużej ciągłych obelg przeciwko podwojewodzemu, ujęła się za swym krewniakiem i na obelgę odpowiedziała obelgą. Łopacki za jedną obelgę oddawał kilka, i wbrew oświadczył, że ją wyrzuci ze swej kamienicy. Obrażona szlachcianka, tracąc cierpliwość, uderzyła go, a on nie pytając wiele, pochwycił i wyrzucił ją na ulicę, tak że w błoto wpadła. Córka ujęła się za pokrzywdzoną matką, ale i ją pochwycił, wyrzucił na ulicę, powybijał potem okna, wyważył drzwi i zabrał z sobą. Działo się to na św. Marcin o czwartej godzinie w nocy 1631 r.

Wystraszone szlachcianki, nie wiedząc, co począć, udały się zaraz do burmistrza, Pawła Użewskiego,[2]) prosząc o wymiar sprawiedliwości. Nazajutrz Marcin Wielogłowski, podwojewodzy sandecki, i brat jego Krzysztof, podstarości sandecki, przyszli na ratusz i, jako opiekunowie, zanieśli żal i skargę na Łopackiego. Pani Konstancya okazała siny raz na ręce, a matka jej swoje szaty splamione w błocie. Wyznaczono termin, czyli roki sądowe. Ale właśnie pan podwojewodzy musiał w tym czasie wyjechać w osobistych interesach swoich, więc urząd odłożył sprawę na później, o co Łopacki nie pogniewał się wcale.

---

[1]) Act. Consul. Sandec. T. 52 p. 60—63. T. 53, p. 189. Act. Scabin. T. 51. p. 479—482. T. 54. p. 276.

[2]) Złotnik i rajca sandecki 1630—1643.

Łopacki miał niezwyciężoną chętkę, według zwyczaju swego, pieniać się na zabój, ale nowa sprawa ciężkiej obrazy [1]) honoru ks. Bartłomieja Fuzoryusza, kustosza kollegiaty, wskutek której całe miasto poruszył przeciwko sobie, skłoniła go do zgody. Posłał tedy do pani Wielogłowskiej, prosząc o zgodę i zdając się na sąd polubowny Jana Wojakowskiego i Stanisława Rogalskiego. Jakoż stanęła zgoda. Łopacki za szkody i urazy zapłacił 12 złp., przeprosił i zaręczył, iż panią Konstancyę Przytkowską pozostawi nadal w spokojnem posiadaniu części kamienicy Smoczowskiej.

Pan Adam Trzciński z Nowejwsi miał także 700 złp. długu u Łopackiego. Dowiedziawszy się więc o znieważeniu pani Wielogłowskiej i jej córki, zjechał i zapozwał go o swój dług. Łopacki, rozgniewany na wójta Tomasza Pytlikowicza, który różne jego sprawki już nieraz sądził, wmówił w siebie, iż się to stało na jego wezwanie: głośno zatem obwiniał wójta, iż doniósł panu Trzcińskiemu o swem niecnem postępowaniu.

Zapis był prawny, więc sąd zawyrokował, iż pan Trzciński może odebrać współposiadanie kamienicy Smoczowskiej, nie ubliżając prawu pani Konstancyi Przytkowskiej. Naznaczono roki, aby się Łopacki dobrowolnie usunął lub pieniądze oddał. Ale nie dał się nakłonić na żadną stronę. Dlatego przed ostatecznem poparciem powagi sądu siłą, posłał doń wójt Pytlikowicz: podwójciego i ławnika jednego wraz z woźnym. Ci wezwali go w imieniu prawa, aby dług 700 złp. panu Adamowi Trzcińskiemu zapłacił według przewodu prawa nad nim, albo kamienicę opuścił.

Zastali tam przypadkiem miejskiego kata. W jego przytomności, wpadłszy Łopacki w swój zwykły gniew, odpowiedział: „Panowie przysiężnicy! powiedzcie ode mnie wójtowi, że ja go, tego niecnotliwego syna, tego złodzieja zabiję! Miałem go dawno kijem zabić u rurmuza, [2]) alem mu folgował. Jak zostanę burmistrzem, każę go pojmać... pojmawszy, dam go za kratę... a potem wepcham mu w gardło ową kartę, co pisał o mnie do pana Trzcińskiego... i każę ściąć lub obwiesić... ale każę malarzowi po-

---

[1]) Bliższe wyjaśnienie tej sprawy zob. Hist. Now. Sącza T. II. 102—104.

[2]) Na mocy przywileju Kazimierza Jagiellończyka, wydanego w Krakowie 1465 r. i ponownie Zygmunta Augusta na sejmie warszawskim 17. stycznia 1555, założono w Nowym Sączu wodociągi, zapomocą których sprowadzano wodę z gór w Roszkowicach do miasta. Całe to urządzenie i zabudowanie, skąd wodę rurami tłoczono do miasta, nazywano rurmuzem.

wroz pomalować, żeby na białym albo surowym nie wisiał, ale na pomalowanym. Ty! (zwracając się do kata), Janie mistrzu! będziesz nad nim exekutorem, będziesz miał robotę koło niego..."

Wkrótce jednak po odejściu przysiężników pohamował się Łopacki. Uprosił Stanisława Grybowskiego, ławnika, i posłał go do wójta Pytlikowicza, aby mu odpuścił i za złe nie miał, gdyż to w gniewie mówił. Wójt odrzekł: Odpuszczam z serca, jeżeli mu prawo odpuści! Słysząc to Łopacki, odpowiedział po swojemu: Porwał go kat! com mówił, tom mówił!

Ks. Jan Sygański T. J.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MATERYAŁY
do historyi polskiej XIX. wieku.

Działalność emigracyi z roku 1831 na terenie Turcyi do pokoju Paryskiego.

(Ciąg dalszy).

6. sierpnia 1844.

Raport p. Puławskiego posyłam. Ostatnim statkiem, to jest wczorajszym, nic nie pisał, widać, że wyjechał z Tulczy, aprobowałem podróż do Hassan-beja, ale zaleciłem jak najmocniej, by zaniechał projektu przyjechania do Carogrodu, choćby na najkrótszy czas, toby było błędem, niepotrzebną stratą czasu i pieniędzy. Według mego zdania paszport cudzoziemski p. Puław. wcale potrzebnym nie jest, ale z obawami i przywidzeniami tych panów, to rady sobie dać nie można, jak się czegoś zachce, to trzeba koniecznie dostarczać, bo inaczej to rzuca posadę, jak gdyby na spacer wychodził. Pozycya p. Puław. jako Muzułmanina i poddanego tureckiego, jest ważną, gdyby zrobił jaką niedorzeczność, byłoby to wielką szkodą dla sprawy, dlatego upraszam władzy, jeśli można, dołożyć starania i dostać mu ten paszport angielski, a przynajmniej napisać w tym względzie na osobnej karteczce

stosownie do moich powyższych raportów, jak władza uważa pozycyę p. Puław., że nie chce, aby był cudzoziemcem, lecz poddanym tureckim, zwłaszcza, że już jest właścicielem, że to potrzebne dla dobra sprawy i odwołać się do poświęcenia się p. Puławskiego. dlatego proszę o podobną karteczkę, że pp. Wielogłowski i Rawski wlali mu to przekonanie, że to ja przez upór nie chcę tego zrobić, ale żebym chciał, to byłoby to zaraz zrobionem — oni to w nim obudzili tę obawę niczem niewyrezonowaną. Ja starałem się u Rizy Paszy o powtórne polecenie p. Puław. władzom miejscowym i p. (nieczyt.), mnie jak najsolenniej zapewnił, że to jest zrobionem. — czemu wierzę, gdyż p. Puł. nie uskarża się na miejscowe władze — owszem, przybyły ztamtąd sługa jego Giovani donosi, że jest doskonale uważanym. Proszę także o przygotowanie człowieka potrzebnego na Niż, ale tak, żeby mógł tam ze mną część zimy przepędzić — jabym pragnął tam zimować. Moje posiedzenie tam jest konieczne, jak równie mój pobyt tu, nie masz dnia, godziny, żeby tu nie było co do zrobienia, trudna to jest rzecz, a nawet nie wiem, czy podobna, podzielić się obecnością na dwa miejsca, żeby temu zaradzić, trzeba mieć albo tu dobrego zastępcę, albo tam zdolnego i wiernego wykonawcę rozkazów, ten ostatni zdaje mi się podobniejszym do wynalezienia, chociaż ja wolałbym mieć pierwszego. Jak tylko sprawa W. i P. rozjaśni się, zaraz jadę na Niż, ale dlatego proszę władzy o przysyłanie korespondencyi jak zazwyczaj, nie przerywając jej, bytność Drozdowskiego w części korespondencyjnej zaradzi wszystkiemu, ja mu zostawię jak najszczegółowszą instrukcyę.

16. sierpnia.

Z Niżu raport p. Puławskiego posyłam — pozycyę jego uważam za najlepszą, jakiej tylko spodziewać się i życzyć sobie moglibyśmy. Nieposuwanie rzeczy przez p. Puław., do czego niema potrzebnej ruchliwości, bynajmniej sprawie nie szkodzi, stosunki, jakie zawiązuje i roztropność, z jaką się prowadzi, bardzo jest pożyteczną. Mam nadzieję, że pobytem moim na Niżu przez kilka tygodni, rzecz jak potrzeba wdrożę, ale do prowadzenia wdrożonej trzeba człowieka roztropnego i przezornego, a zarazem ruchliwego, ten z Puławskim odpowiedzą potrzebie polityki X-cia Pana — a jeśli będę mógł zimować na Niżu, to ufam w Bogu, że ten ważny, dziś może najważniejszy punkt, będzie za-

jęty przez nas. jak tego potrzebujemy. Chciałbym od przyszłego wtorku za tydzień a najdalej za dwa tygodnie wyjechać na Niż. Poleciłem p. Puław., by wchodził w stosunek bliższy z Tatarami, bardziej przekładając stosunek z Tatarem Manhińskim. (?) miejscowym. jak Birbuszcem (?), tylko przejezdnym. By za jednym razem starał się Nekrasowców z Konnonki blisko Manhina,[1]) w wielkiej zażyłości będących z Tatarami. pobudzić do działania na kozaków Płatowskich, przybyłych zastąpić koz. Manhińskich.

Poleciłem, by w kupionym młynie przez p. Polaka. starał się umieścić Polaka. do czegobym mu posłał p. B(nieczyt.), o którym poprzednio pisałem. im więcej Polak na Niżu, a roztropny, tem lepiej dla nas. możemy się nim posługiwać a o naszych zamysłach i robotach nie powinien nic wiedzieć. Co do świadectw mnicha. to nic nie znaczą i z tymi mnichami nie można nic zaczynać. póki ja nie przyjadę na Niż, można jednak z tej rzeczy wyciągnąć korzyść,ale w tem wszystkiem. trzeba się samemu rozpatrzyć.

26. sierpnia.

Z Niżu odebrałem tylko wiadomość ustną i list od p. Radyszewicza. że p. Puławski wyjechał w okolice Babadach. P. Radyszewicz jest z dawnej administracyi statków w Kustendży — pisałem o nim nieraz w moich raportach. P. Radujewicz zaś, który miał interes z Zaborowskim. jest Serbo-Czarnogórzec, używany przez Turków do rozmaitych posług. szczególniej przez Murze-Paszę, dla odróżnienia będę nazywał odtąd p. Radyszewicza p. Tomasz. Prosiłbym władzy jak najusilniej o przyspieszenie p. Zaleskiego do zawiązania stosunku komisyonerskiego z p. Tomaszem. to dla naszej posady koniecznie potrzebnem. P. Puławskiego kondycya Muzułmanina jest bardzo ważną. ale to pewna. że on sam nie jest wstanie odpowiedzieć potrzebie sprawy na Niżu. Jeśli Iliński się uda, to z nim Puławski będzie wyśmienity. Dla tego proszę o Ilińskiego, ale proszę. by w paszporcie można było owe „ski“ jakoś zmienić. Mimo. że tu jest ciągła a ciągła robota, chcę 4. a przynajmniej 11. września wyjechać na Niż. choćby na jakiś czas tylko i spodziewam się, że to zrobię 11-go. Dziś przychodzi

[1]) Zdaje się, że tu mowa o miejscowości Akmanhit, dawnej kolonii Zaporozkiej. Kozacy tej kolonii w r. 1807 wrócili do Rossyi, nazywano ich Manhińskimi. Utworzyli w tymże roku naddunajskie pułki kozackie. (Ust'-dunajskije połki). Patrz list z 26. wrześ. — przypisek.

statek z Niżu, jeśli mi przywiezie jakie ważne wiadomości, to jutro doniosę o nich przez pocztę pod adresem: Pani Mosel de (nieczyt.). Chciałbym bardzo zimować na Niżu.

6. września.

List od Puławskiego załączam, odebrałem także ustną wiadomość przez przybyłego ztamtąd mieszkańca, że Austrya wysyła na Niż niejakiego hofrata imieniem Geringer dla spisania Mołokanów, poddanych Austryi, znachodzących się na Niżu ze stadami i trzodami, także popa ruskiego, prześladowanego przez Moskwę, zbiegłego do Turcyi i tam trzymanego w areszcie. P. Szturmer wyzwolił i sprowadza do Carogrodu, ten pop jest teraz w Tulczy: zwróciłem uwagę i całą ostrożność p. Puław. na te zachody Austryi i poleciłem, by obudził wreszcie podejrzenie urzędników tureckich przeciw tym rzeczom. To mi było doniesione przez Franciszka Iryeza, właściciela domu i kawiarni w Tulczy, dobrze reputowanego człowieka. On mi bardzo dobrze mówił o Puław. i oświadczył, że teraz jest na biesiadach przedramazanowych z hanem i murzami tatarsk., z którymi ma być w wielkiej przyjaźni. To zaprzyjaźnienie się Puław. może przynieść bardzo korzystne skutki, ale ze wszystkiego widzę, że on sam nie potrafi sobie rady dać na Niżu: doszedłszy do stopnia zaprzyjaźnienia, dalej nie pójdzie, zresztą nie rozumie ważności, jaką nadaje jego posadzie cecha Muzułmanina i poddanego Porty. Trzeba do niego człowieka, któryby lepiej rozumiał służbę, lepiej rozumiał Polskę i potrzeby Polski, niech ma energię, dobrą wolę i akuratność w spełnianiu poleceń. Tego tylko potrzebuję. Jeśli jest takim Iliński, to proszę władzy o niego jak najprędzej. Rzecz o Haffrain zdaje się sprawdzać (nieczyt.). P. Dubrawczyc z dawnej administracyi Kustendży mówił, że rząd austr. zamyśla o przywróceniu tej stacyi i dla tego ma wysłać urzędnika na miejsce dla przejrzenia tego punktu i zebrania potrzebnych wiadomości. Namówiłem Stefana Kalinowskiego, który pokłóciwszy się z Niemcem, ogrodnikiem sułtańskim, porzucił służbę sułtańską — do udania się na Niż, a Puław. poleciłem, by mu wynalazł tymczasowe jakie miejsce, będzie to dobry emisaryusz — ma do tego chętkę — jest to ten sam, co ze mną robił podróż po Niżu i Bułgaryi, dawniej on żądał pozytywkę i chciał iść między kozaków czarnomorskich i azowskich, których kraj zna, gdyż między tymi ostatnimi był lat kilka. Prosiłbym bardzo o przysłanie

przez p. Ilińskiego jednej lub dwóch pozytywek a przytem kilka rozmaitych harmonik, to doskonała rzecz dla emisaryuszów idących między lud. Azowscy kozacy są zaporożcy, ostatnim razem wyprowadzeni z Turcyi z Hładkim. Jest ich przeszło 3 tysiące, na pograniczu Ukrainy z ziemiami Czarnomorców, rząd mosk. chociaż im nadał konstytucyę wojskową, nie używa ich do służby, są to awanturnicy na wszystko gotowi, wciąż uciekają na Niż i z nich można mieć dobrą korzyść, byle między nich rzucić naszą myśl.

Proszę władzy bardzo myśleć i zrobić co dla domu handlowego p. Radyszewicza, niech do niego przynajmniej napiszą komunikacyę handlową, informującą się p. Falkenhagen, to go pokrzepi — on kupił dom i czeka, a to stanowisko dla nas tyle korzystnem, że warto nim się goraco zająć. Ja chciałbym wyjechać w ten wtorek na Niż, zrobiłbym do tego potrzebne kroki o odświeżenie papierów, ale nie wiem, czy to uskutecznię prędzej jak przed 17. wrześn., taki nawał interesów na mnie się zwala, że już to za największą łaskę Bożą uważam, że mogę im jako tako wydołać — a bytność moja na Niżu jest konieczna.

16. września.

Raport od p. Puław. odebrałem i takowy posyłam. Wczoraj dopiero ten raport odebrałem, z tego powodu, równie jak i z przyczyny święta ramazanu, nie mogłem się dowiedzieć, czy wieść o p. Kuźniczewie jest prawdziwą, mówiłem do p. B., ale on o niczem nie wie, ale ja temu wierzę, że Porta dla zatarcia sprawy o złapany okręt z prochami do Czerkies, mogła takową koncesyę zrobić. Moskwa opierając się na prawności, mogła tego żądać, a Risaefendi człowiek słaby i bojaźliwy mógł pozwolić na to — a zwyczajem swoim przez wstyd tai takowy krok przed innymi gabinetami — zaradzić temu dyplomatycznie niepodobna. Gdyby zaś ta wieść była płonną, rozgłaszając ją, możnaby Moskali naprowadzić na drogę — postanowiłem tedy, jeśli jest prawdziwą, radzić (nieczyt.) miejscowym przez Puław., by zrobili ogłoszenie, któreby odwołało dezerterów i pozwoliło im pokryć się w bezpieczne schronienie, po jakimś czasie mogą wrócić na swoje miejsca. Pod rządem tureckim udać się to może. To postanowienie Porty byłoby bardzo szkodliwe dla naszych zamiarów. Zamierzam jutro wyjechać na Niż i chyba jakiś nadzwyczajny wypadek może

przeszkodzić tej podróży. Czuję, że moje położenie będzie trudnem. jeśli zastanę p. Łkuznicza na Niżu z okazyi swojej misyi. ale mam w Bogu nadzieję, że on nas nie opuści. Zresztą chcę wyegzaminować stosunki. porobione przez Puław.. ustalić porozumienie się z p. Radysz. Tomas. i wypatrzyć emisaryusza. Po tem przejrzeniu może wypadnie. abym powróciwszy do Carogrodu na jakiś czas, jechał na zimę na Niż, jeśli taka będzie wola X-cia Pana.

Carogród, 26. września.

W tej chwili wracam z Niżu, to jest z Tulczy, gdzie byłem dni kilka. Mam bardzo mało czasu do pisania i dlatego w krótkości będę o wszystkiem pisał — późniejszym raportem rozwinę obszerniej co potrzeba. Wyjechałem z Carogrodu 17. b. m.. przybyłem do Tulczy 19. w nocy, ztamtąd wyjechałem 23-go po południu i tu w tej chwili przybywam. W podróży tam przebyliśmy burzę i o mało co nas statek nie zgruchotał się.

Achmet-beja pozycyę zastałem jak tylko można najlepszą — jest uważany i lubiany przez władzę i mieszkańców wszelkiego rodzaju. ta jego pozycya i chętność w spełnianiu rozkazów. dała mi możność prędkiej roboty. Umowę asocyacyi między Achmet-bejem a p. Tomaszem Radyszewiczem do założenia domu handlowego komisyi spisałem i oni go podpisali. zrobiłem to dla ustalenia p. Tomasza i nadania powierzchownej cechy pobytowi Achmet-beja. Byłem u gubernatora (ajana) Tulczy Ali Effendi. mówiliśmy z nim o tej asocyacyi i on koniecznie chciał do niej należeć. tak dalece, że ofiarował się dać 50 tys. piastrów do współki i wystawić sklepy. Ta propozycya i ta chęć ajana jest dla nas ogromną korzyścią, możemy być prawdziwymi panami Niżu. tylko chciejmy. Dla większego zachęcenia i wciągnięcia w rzecz ajana ułożyliśmy, że on razem z Achm.-bej. i p. Tom. Rad. spisze rejestr szczegółowy rzeczy czyli towarów potrzebnych do sprzedaży na Niżu i produktów Niżu z cenami i objaśnieniami szczegółowemi. to wszystko mają zrobić i przesłać mi jak najprędzej do Carogrodu. Wystawiłem ajanowi potrzebę tajemnicy przed zazdrosnymi mu... i przed Moskwą i nawet przed jego władzą do pewnego czasu, ten język bardzo mu trafił do przekonania.

Jest to młody jeszcze człowiek — pongtę ma do cywilizacyi i znaczenia. Umowę między p. Tom. a Achm.-bej. mam u siebie, ale ją prześlę razem z rejestrami. Teraz trzeba rzecz wystawić

p. Falkenhagen, że oprócz wysokiej, niepospolitej służby, jaką oddać może Ojczyznie, nigdzie lepiej nie może prowadzić zarobku handlowego, jak w Tulczy dom komisyjny. Wspólnik ajana będzie miał wszystkie produkta miejscowe taniej i snadniej jak każdy inny kupiec. Składy i sklepy przyjdą domowi prawie za nic. Przez skasowanie biura w Kustendży miasto Talcza ogromnie się podniosło — ja go nie poznałem. Ludność się stroiła, więcej 200 porządnych domów się pobudowało, daleko więcej życia i ruchu w Tulczy jak w Warnie i Sylistryi. Moskale nad odnogą Sulina budują miasto, już jest więcej 50 domów. Sulina jest za kordonem zdrowia. Wszystko kupuje w Tulczy, wojsko stojące w Sulinie także nabywa potrzebnych rzeczy w Tulczy, a może snadno robić kontrabandę do Rossyi. W Tulczy i Sulinie co roku buduje się ogromna ilość statków tak na Dunaj, jak i na morze Czarne — przy mnie w Tulczy spuszczano z warstatów cztery okręty, między którymi dwa były o trzech, a dwa o dwu masztach. Na warsztatach w Tulczy widziałem do 40, a w Sulinie daleko więcej. Więcej widziałem w Tulczy ludzi w kapeluszach po europejsku, jak w Ruszczuku. To wszystko zapewnia odbyt towarów europejskich, szczególnie w spółce z ajanem. P. Tom. Rad. ma swój dom bardzo porządny i za pośrednictwem Achm.-beja dostał przywilej na rzeźnictwo. Achm.-b. jest w doskonałych stosunkach z Hussajm-Effendim i Halil-Effendim, najbogatszymi właścicielami Tulczy. Hassan-bej, dawny gubernator Niżu jest teraz właścicielem ceł (guimrakczy) od Silistryi aż do Warny, bardzo dobrze jest z Ach.-bej., a dla mnie oświadcza jak najszczerszą przyjaźń. Przemycanie towarów zakazanych przez osadę wojskową z Suliny, jest niepospolitej wartości i handlowej i politycznej, nie wyjmując dzisiejszego zastępcę gubernatora Suliny, maj. Hanzylow, wszyscy oficerowie i żołnierze okazują ogromną chętkę do tego przemycania. Bliskość i ciągła komunikacya z Besarabią nadaje ogromną ważność handlową i polityczną Tulczy. Należy się teraz odezwać i do patryotyzmu i do inteligencyi p. Falkenhagen. Jeśli prędko bez odkładania, bez przewlekania potrafimy korzystać z tego, co się tu zasnuło, polityka X-cia Pana stanie na olbrzymiej posadzie. Niech p. Falkenhagen stanie na czele dyrekcyi tego domu komisyjnego, będzie reprezentantem polityki X-cia Pana i handlu domów angielskich a może i franc. Gubern. Tulczy i p. Tom. właściciel, powinni być gwarancyą temu handlowi, a Achm.-bej doskonałym pośrednikiem do mieszkańców. Tylko nie trzeba opaźniać tej rzeczy. Ona nam daje usadowienie

się na Niżu, działanie na Niżu i z Niżu propagowanie samychże Moskali. Posyłam Achm.-b. Constitutionel i już go czytają i zabierają Moskale, oficerowie i urzędnicy kwarantan Tomorowcy, Suliny, a nawet kursuje do Ismaiłowa, dla tego to proszę o regularne przysyłanie dzienników, broszur i t. d. Teraz więcej jak kiedykolwiek jestem przekonany, że z Niżu jedynie tylko można rozburzyć carstwo moskiewskie. Jedynie tylko i to moje przekonanie jest jak najgorętsze, tam dobrze prowadzona i żywiona polityka X-cia Pana musi rozburzyć przez osiągnięcie zwycięstwa. Obraz Matki Najświętszej pokazałem Ojcu Parssi, bardzo go uradował, po Ramazanie Achm.-b. mu go odwiezie. Prosiłbym władzy o przysłanie mi rozmaitych tanich obrazów świętych, choćby małych i wprost na papierze, a szczególnie św. Michała, św. Stanisława, św. Jozefata, św. Kazimierza, M. Boskiej, św. Anny i św. Jadwigi, o ile można stylu wschodniego oraz cacek kościelnych, mało kosztujących — to wielki pożytek zrobi. Czy nie dobrze by było ową odezwę Lelewela do Moskali przeinaczyć, po moskiewsku przetłumaczyć, wydrukowdć i to przez Sulinę rzucić. W wojsku moskiewskim szczerze niechęć ku rządowi i carowi: niedawno jakiś wyższy oficer Leontij Osipowicz — nazwiska jego nie umiał mi powiedzieć doktor Warniński Kwasantowicz — posądzony o spisek, uciekł przez Ruszczuk, Warnę, tam siadł na okręt i popłynął do Ameryki do Bostonu. Przyszedł do Paszy rozkaz schwytania go, ale Grecy warnscy ułatwili mu ucieczkę za pomocą doktora, doktor mi mówił, że bardzo utalentowany człowiek. Jechałem na statku z Mosk. Sergijem Szutow z Rygi, poeta i człowiek bardzo przyzwoity, z umiarkowaniem ale z niechęcią mówił o carskim despotyzmie, o naszej sprawie bardzo zdrowo sądził, dla uniknięcia awantury nie pojechał z Bukaresztu do kraju, ale jedzie na Stambuł, Tryest, przez Niemcy do Rygi, tak się boi tej awantury policyjnej. Oficerowie Suliny i Tomarowy, znajomi Achm.-beja, tęsknią za swobodą, uskarżają się na despotyzm. Wszystko to jawnie dowodzi, że pierwiastek rewolucyjny grasuje w Moskwie, ale nigdy na rewolucyę Moskwy spuszczać się nie można, trzeba swoje robić, a ten duch może nam ułatwić działanie tylko, nic więcej.

Niemam czasu tylko do widzenia niektórych osób koniecznie potrzebnych i tę ekspedycyę kończyć będę w nocy i w nocy poszlę do Terapii. Widziałem Plor., oświadczył mi, że interesa Toiti i Morsku (?) są (nieczyt.) i że teraz trzeba będzie to, żeby Francya z Anglią mogły razem działać i krzepić swoje przymierze. Plro.

pojmuje, że tą kwestyą powinna być kwestya słowiańska, zaręcza za takoweż same chęć i pojęcie p. de B., ale obawia się, by p. Canner nie był temu przeciwny, gdyż Austrya zraża go bezustannie od tej kwestyi — jako mającej przewrócić Ottomańskie państwo — dlatego radzi, by X-żę Pan jak najspieszniej zrobił staranie w tym względzie koło gabinetu St. James. Z p. de B. będę mówił stosownie do woli i rozkazu władzy. Ale przyznam się, że nic mnie tak nie kosztuje, jak mówić z prośbą o pieniądze, ale będę mówił.

Przez czas mojej niebytności nic nie zrobiono, dopiero ja dziś list (otrzymałem) z Serbii i memorya Neofil. (?). Mimo najlepszych chęci nie było to zrobiono, pokrzyżowano nawet niektóre rzeczy, ale to nic bardzo złego nie zrobiło, tylko że wszystko dowodzi, jak ciężko na kilka dni oddalić się ztąd, nie mając dobrego i wprawnego zastępcy. Polityka X-cia Pana na tym stopniu stanęła, że nie można jej odstępywać na chwilkę. List Zacha przesyłam. Już z niego widno, że rady nasze słuchane, że obawy o scysyę między W. i P. a L. Aleou nie tak są strasznymi. Posyłam memoar Archi Neof., dałem jedną kopię p. de B., jedną posłałem do Serbii.

Poznałem się z przełożonym monasteru Czylin-dere Uspenia Bohorodyci. Ojcem Paissin, tym samym, o którym pisywał p. Rawski — jest on rodem z Kardyszówki z pod Berdyczowa, mój niedaleki sąsiad, dzieckiem wyszedł ztamtąd, ma lat do 50 i przeszło, człowiek prosty, pełen zdrowego rozsądku, łagodny i szczerze serdeczny. Kilka dni będąc z nim, nie widziałem go ani razu pijanego. Doskonale zrozumiał całą naszą pozycyę, nasze działania i otwiera nam swój monaster, o tem interesie piszę w liście do X-cia Pana. Jest to rzecz ważna i bardzo dla naszej sprawy. Monaster jest o 3 mile drogi do Tulczy i tyleż od Isu Kery, o półtory od Dunaju, w lesie, blisko wioski Tełycia, gdzie zakładają monaster kobiet, na samym przechodzie chłopstwa uciekającego z Moskwy do Turczyzny. Będziemy mieli człowieka w tym monasterze. Ojciec Paissi wskaże ludzi godnych wiary na emisaryuszów, można i trzeba koniecznie mieć drukarnię ręczną z literami polskiemi i ruskiemi dla drukowania potrzebnych pieśni, modlitw i odezw do ludu naszego, malutkiego formatu książeczki do tego posłużą. Takim sposobem przygotujemy, podniesiemy i opanujemy lud Ukrainy i taka propaganda wielkiego czasu nie potrzebuje. Lud Ukrainy nie trzeba przekonywać, ale zentuzyazmować, to dzieło tygodniowe a nie roczne, a bez tego żadne emisaryuszostwo na nic się nie przyda a przynajmniej nie na wiele — i dłu-

giego czasu potrzebuje. Ja tu zaraz zajmę się przygotowaniem takich rzeczy, ale prosiłbym władzy o przygotowanie i przysłanie mi także jakiejś piosnki, jakiejś modlitwy, tylko byle nie były długie, o ręczną drukarnię na Niż proszę. Teraz człowiek, który będzie w monasterze, musi zupełnie przyjąć cechę powierzchowną życia monasterskiego, a nawet i krój sukień do monasteru zastosować. Mnie się ta rzecz nie wydaje ani trudna, ani przykra, ale ja wiem, że takie poświęcenie się Polakom nie bardzo się podoba, dla tego dobrze naprzód wystawić rzecz, wysyłanemu, żeby potem nie było korowodów. Musi taki człowiek uczęszczać na mszę, być codzień i w wieczór na modlitwie, nie udawać junaka — mało gadać, zachować pozorne posłuszeństwo dla igumena (przełożonego monasteru), żyć w zgodzie z mnichami, a jednak z nimi się nie spoufalać, z narodem prostym po karczmach nie włóczyć się, w swoich stykaniach się z Achm.-b. zachować wszelką a wszelką ostrożność, ślepo wykonywać polecenia władzy politycznej. Czy na to wszystko p. Iliński przystanie? Misya to jest nadzwyczajnie ważna, pole do odznaczenia się piękne, do służenia sprawie pożyteczne, przyszłość otwarta, ale trzeba wytrwałości i poświęcenia się. Przy funduszu, jaki jest wiadomy X-ciu Panu, 300 fr. rocznie na ekspedycye, rozmaite prywatne potrzeby i t. d., powinny wystarczyć takiemu agentowi — a przytem trzeba mu zapewnić, że jeśli nie przez swoją omyłkę, nie z własnej woli, ale przez nieprzewidziany zbieg okoliczności lub z rozkazu władzy opuścić będzie musiał stanowisko, a nie był użytym do innej posługi, dostanie 500 fr. i wolność udania się, gdzie mu się podoba, to mi się zdaje być rzeczą konieczną; z agentem agencya główna miała stosunek czysty. Chciałem, to jest miałem zamiar użyć do tej posady p. Chmielowskiego — umie po rusku i po rossyjsku, zna się na drukach i na drukarni, a przytem cichy, ale jest teraz chory i niestety jakieś nieszczęście jest przywiązane do tego człowieka, zkąd inąd i chętnego i zdolnego nawet. Jeśliby p. Iliński się zdał do tej sprawy, trzebaby się spieszyć z wysłaniem onego, gdyż statki do Gałacu chodzą tylko do końca października. Robię tu jeszcze jedną uwagę. Gdyby mnie okoliczności nagliły, gdyby spóźniona pora nakazywała konieczność, gdyby p. Chmielow. wyzdrowiał, natenczas musiałbym go wysłać, żeby nie stracić drogiego czasu. Jednak to bynajmniej nie przeszkadzało by mnie umieścić tam i Ilińsk., a nawet p. Chmiel. dałbym tę postę, jako czasową tylko — na Niżu jest co robić. Wszyscy mnisi w monasterze są Ukraińcy. O. Paissi jest w dobrej zgodzie z biskupem

Bułgarem, który najczęściej przebywa w Tulczy, choć powinien mieszkać w Sylistryi, ten biskup jest także w przyjaźni z Achm.-bej. Z tego monasteru można działać i na Dońców, zwłaszcza, że teraz Dońce są w Ismaiłowie i w kwarantannie na wyspie Tomarowa i bardzo często przychodzą do Tulczy, można i ich nie zaniedbywać i ztąd może niejeden pożyteczny związek się wywiąże. Ganczarowa nie widziałem, gdyż wyjechał do Ruszczuka z towarami, jednak zapewniał Achm.-b. przez Parojoła (Polaka Stanisława) o swoich chęciach służenia sprawie, a nawet udania się gdzie zechce, byle zapewnić na przypadek jakiegoś nieszczęścia los jego żonie i dziecku. Poleciłem tedy Ach.-b., by za jego powrotem z nim rozmawiał i jeśli tak, jak chciał dawniej Gancz. jechać do Carogrodu, żeby go wysłał, a ja ztąd go wyprawię na Don, chociażby przykładając się cośkolwiek do jego podróży. Myślę na przypadek nieszczęścia zapewnić jego żonie i dziecku mieszkanie na Osadzie i upraszam władzę o napisanie mi w tej sprawie swojej woli. Ganczarow jadąc przez Berdiańskie, będzie doskonałym emisaryuszem na kozaków dońskich i azowskich (zaporożców ostatnio przeniesionych z Turcyi, osiedlonych koło Berdiańska),. to będzie dobra rzecz, a kosztów wielkich nie przyniesie. Liczba kozactwa pomnożyła się znacznie na Niżu, ale naszego kozactwa, w samej Tulczy 68 nowych chat tego roku pobudowali, poleciłem Achm.-bej., by doradzał ajanowi o zasiedlenie nowej osady koło Besz-tepe (pięciu wzgórz), niedaleko ostatniej Siczy i może się to stanie. Duch kozactwa ogromnie wojenny, niektórzy mnie poznali i to już robiło ruch nadzwyczajny i dla tego powodu, żeby nie rozbudzać tego ducha, a tem samem nie kompromitować dalszej pozycyi Achm.-b., byłem bardzo rad, że tak na prędce mogłem wszystko przejrzeć i zrobić. To kozactwo zawsze jest do naszego wzięcia, w ciągu tygodnia możemy że dwa tysiące snadno wyprowadzić w pole, z tymi wprost niema co gadać, tylko ich uważać i przez monaster nad nimi czuwać i pracować. Widziałem kilku Nekrasowców ze Sławy i Sary-Kioi, bardzo mnie uprzejmie witali i zapewnili chęć bycia dobrze z nami, pytali mnie o różne rzeczy, bardzo się uskarżali na p. Rawskiego, że nimi pomiatał, że nie chciał z nimi żyć, że hołotę na nich podburzał, nazywając ich Kacapami, Moskalami i t. d. Chociaż sądzę, że w tych skargach jest przesada, jednak wierzę, że musi być i część prawdy, gdyż i ihumen mnie, i wszyscy Achm.-bej, mówiąc o p. Raw. nawet najprzyjaźniej, oświadczali, że od ludzi porządniejszych stronił, a z hołotą przystawał i że tem od siebie

porządnych ludzi odstręczał, a podejrzenie władzy miejscowej obudzał. Jednak te wszystkie eskapady pustej głowy nie popsuły nic na Niżu, tylko zmuszają nas do pewnych powierzchownych ostrożności, co jest i z pożytkiem dla sprawy. Nekrasowców zapewniłem o naszych jednakich uczuciach względem nich, a w mojem przekonaniu możemy na nich rachować na każdą potrzebę. Moskale puszczają wieści, że Moskwa ma ten kraj zabrać, w zamian za Krym, dotąd ta wieść rodzi ogromny przestrach między Turkami i obudza niechęć i gotowość do odporu w kozactwie i Tatarach. Ta rzecz może na naszą korzyść się obrócić, jeśli nie zaspiemy, jeśli będziemy w możności działania. Austryacy naglądają Niż, biorąc za powód protekcyę nad Mołokonami, którzy tam przychodzą wypasać stada. Szpiegowanie tej przeklętej Austryi jest dla nas niebezpieczniejszem i szkodliwszem, jak cała czujność i zręczność Moskwy. Poleciłem Achm.-bej. wielką czujność przeciw tym ludziom i dyskredytowanie ich u władz miejscowych a nawet podburzanie przeciw nim mieszkańców. Więcej mamy się obawiać Austryi jak Moskwy. Przy mnie przybył do Galacu z konsulatu niejaki austryak Szamo, który miał oczekiwać na Br. Geringer, mającego objechać wszystkich Mołokonów — od Tulczy do Bazarczyka (?) i Warny. Z Tatarami Achm.-bej bardzo roztropnie interes prowadzi, wszedł w ścisły stosunek znajomości z hanem Murzą z Czałał-Omen, naczelnikiem wszystkich Tatarów, 35-letnim głowakiem roztropnym i chętnym naszej polityce i z Ak-Murzą (Białym Murzą) z Matczyna.[1]) człowiekiem zasłużonym wojskowo między Tatarami — przeszło 50 lat mającym, bardzo poważanym, pojmującym naszą politykę i jej chętnym. Ci dwaj ludzie mogą całą Tatarszczyznę poruszyć. Z opowiadania Achm.-beja widzę rzecz tak dobrze prowadzoną i tak posuniętą, że można przystąpić do czynów ostatecznych. Posłałem teraz obydwom tym ludziom podarki i przystąpię z nimi do umowy. Upraszam tedy władzę o oznajmienie mi, do jakiej sumy mogę posunąć datek na jeźdzca uzbrojonego — w razie już potrzeby. Z rozmów tych dwóch ludzi i ze znajomości ducha tutejszych Tatarów wiem, że to będzie główny, zasadniczy warunek umowy. Upraszam o prędkie zadecydowanie tej rzeczy. Gdyby można posunąć tę sumę do 400 piastrów tur., to byłoby dobrze i to tak 100 p. t. na rękę, 100 złożone u naczelnika, a 200 dwoma ra-

---

[1]) Może tu mowa o Maczynie, starej kolonii ukraińskiej na Dobrudży?

tami już za Dunajem w naszym kraju. Niech władzę bynajmniej nie zatrważa to zadecydowanie: roztropnie i z niem i z umową się obejdziemy. Nie zrobię lekkomyślnego porywczego kroku. a sprawy pewnie nie skompromitujemy. Ludność Tatarów przenosi 40 tys. płci męskiej. a snadnie wyprowadzić można w pole 5 tys. jeźdzców; wszyscy mają konie dobre, osiodłane i potrzebną broń. O tradycyi dezerterów wieść ani tu ani tam na Niżu bynajmniej się nie potwierdza. Co do p. Kuzniewicza, ten był w Warnie i jest w jej okolicach, o czem piszę do X-cia Pana.

Kończę moje zdanie sprawy z podróży na Niż. upraszając władzy o poparcie i prędkie rezolucye. Gorąco to przedstawiam. bo widzę już owoce dojrzewające naszych zachodów, a obawa mnie dręczy. by one nie przepadły. Koszta na te podróż i na datki tu załączam. równie jak kwit Achm.-beja i jego rotę przysięgi, wziąłem z sobą w pugilares rotę przysięgi 3. maja i tak przypadek zrządził, że taką rotę on napisał. Dla zachęcenia Achm.-b. musiałem mu zostawić dubeltówkę (nieczyt.). zrobiłem zastrzeżenie, że jeśli zechce mieć ją na własność, to mu policzę w pieniądzach. Teraz zapytuję władzy. czy nie byłoby pożytecznie. żeby ją dać Achm.-b. jako gratyfikacye. a dla mnie przysłać inną. co jest potrzebnem. P. Różycki posiada wysoki talent zrobienia z powstańca doskonałego żołnierza i odnoszenia zwycięstw partyzanckich — świetnych. Gdyby Opatrzność chciała zmiłować się nad nim i sprawie dać nową podporę. P. Różyckiego miejsce jest Niż. Z nim kozactwo i Tatarstwo wróci króla Polsce. a Polskę z królem nam z Różyckim na Niżu, gdyby Polska nie była zbawiona oddałbym siebie dobrowolnie na największe męki i cierpienia — takie jest moje przekonanie i taka moja wiara. Na Kaukaz trzeba innego człowieka. a szczególniej dawnego żołnierza i starszego stopniem od Lenoira. Kto wie. czy p. Podczaski albo Bocański z dobrym sekretarzem politykiem. n. p. Budzyńskim. nie byłby tym człowiekiem. możeby jaki doktor (bo doktor operator jest ważną rzeczą tam) się znalazł. coby mógł przemawiać do kozaków. Możeby który z naszych panów. n. p. Potocki chciał należeć do tej misyi — jego imię dobreby wrażenie zrobiło, a czas, by przecie ci panowie dali choć jeden dowód swojego poświęcenia się. i że są warci imienia swojego rodu. Co do Baltazara, tego trzeba uważać jako drogmana przyszłej misyi i tylko z takim uważaniem i zobowiązaniem się jego stosownem, można go tu przy-

[1]) Może Bojarski Edm. kapitan z r. 1831?

słać naprzód. Zapewne, że jego pobyt tu w Stambule pod mojem okiem, będzie korzystnem dla niego, dla misyi i dla sprawy. Przedstawiam jeszcze raz potrzebę przygotowania imienia w pogotowiu do wyprawy tej misyi, na pierwszy raport dobry p. Lenoir, czekać z onej formacyą do rozpatrzenia się, co z raportu wypadnie zrobić, jest to toż samo, kiedy trzeba bić się, myśleć o skupywaniu broni. Byłem na statku, tam jadąc z młodym Ghiką, synowcem byłego hospodara, który ogromnie zażalony na Be-b. i na Francyę, że opuściła Wołoszczyznę dla Serbii, dobry człowiek jakiś, ale Wołoch w całem znaczeniu, dawałem mu nauki, słowami prawdy bez ogródki i zdaje mi się, że to na nim wrażenie robiło, na Serbów strasznie zażalony, o p. Canner i o p. Titof dziwne rzeczy mi wygadywał, ale zdaje się mi, że po większej części zmyślał, jednak z tego zrobię użytek do Serbii. Nazad wracając, znalazłem na statku owego sławnego X. Suchopana, o którym już niegdyś pisałem — przyjechał do Stambułu na wezwanie p. Titof skarżyć X-cia Sturdzę. Od p. Reinera żadnej wiadomości nie mam, co mnie mocno niepokoi, będę pisał do p. Winklera, stosownie do woli X-cia Pana. P. hr. Dzieduszycki jeszcze tu jest, żyje z austryakami i kupuje konie. Drozdowski chciał się z nim poznać i użył do tego p. Ok., emigranta, ale ten pan wyraźnie oświadczył, że z emigrantami nic nie chce mieć do czynienia, ani zawierać znajomości. Jest to człowiek mający lat do 30. Pod żadnym warunkiem nie wypada mnie nastręczać się jego znajomości. Kiedy on nie tylko że nie szuka, ale jej unika. Do Kuneńskiego list napiszę na przyszłą pocztę, teraz nie mam ani chwili czasu. Na osadę posłałem dziś p. Drozdowskiego, a oczekuję p. Żukowskiego z niecierpliwością.

Kończę mój raport o 2-giej w nocy, posyłam do Francyi, a jestem w obawie, by znowu jakiego bałamuctwa nie zrobili w przesyłce.

Michał Czaykowski.

Fr. Rawita-Gawroński.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Fryderyka Chopina
pierwsze lata w Paryżu.
(1831—1838).

STUDYUM BIOGRAFICZNE.

(Ciąg dalszy).

Ale pomimo odniesionego sukcesu, Chopin zaczął się zniechęcać do Paryża, albowiem zaczynał doznawać uczucia zawodu, nabierając przeświadczenia, że w gruncie rzeczy niema tu co robić. A przytem czuł się coraz bardziej osamotnionym, coraz bardziej zawadzającym swoim kolegom-pianistom, którzy w cichości ducha — choć niby tego nie dawali mu poznać po sobie — nie mogli strawić jego tryumfu, jego wyższości pod każdym względem (bo nawet w towarzystwie, jako człowiek wykwintnych form towarzyskich, „umiał się znaleźć“, jak żaden z nich), a w końcu, gdy się wyczerpały pieniądze, które mu przyniósł koncert, i znów wypadło pisać o jakiś „skromny zasiłek“ do domu, gdzie również przy zmienionych warunkach politycznych nie przelewało się wcale, popadł w taki stan przygnębienia moralnego, że nawet w listach do rodziny, tak zwykle wesołych i pełnych dowcipu, nie umiał zataić swego smutku. Przytem tęsknił za wszystkimi, których zostawił w Warszawie, miał różne niedobre przeczucia o niektórych,

co wszystko razem wzięte, sprawiało, że miewał chwile, w których się czuł nieszczęśliwym, rozstrojonym nerwowo, pozbawionym energii i wiary w siebie, nie mówiąc już o nostalgii, jeszcze spotęgowanej neurastenią. Orłowski, który go widywał często, tak o nim w tych czasach pisał do swoich: „Kochany Chopin ściska Was serdecznie; od kilku dni jest bardzo smutny, do tego stopnia, że czasem przyjdę do niego i wyjdę i nic do siebie nie gadamy. Ale to pochodzi z tęsknoty. Tylko proszę Was, nic nie mówcie o tem rodzicom (Chopina), gdyż by to ich bardzo martwiło. Tu u nas w Paryżu kiepsko, nędza między artystami. Cholera wszystkich bogatych panów wypędza na prowincyę. A co jest najokropniejsze, że ani jeden muzykant nie jest w niebezpieczeństwie śmierci, chociaż ich jest tu, jak psów. Żeby tak z połowa umarła, toby dobre czasy znów zakwitły, ale może do tego przyjdzie“.

Ta okoliczność, że w Paryżu było muzyków, „jak psów“, utrudniała egzystencyę także i Chopinowi, który ostatecznie, o ile chciał zostać nad Sekwaną, musiał myśleć o zarobku; ciągle żyć z tego, co mu przysyłano z Warszawy, nie mógł; zbyt na tem cierpiała jego ambicya. Ale właśnie o ten zarobek było najtrudniej, a jeśli na ogół panowała „nędza między artystami“, którzy często i nie przebierali w środkach, gdy w grę wchodziła walka o kawałek chleba, to cóż dopiero miał powiedzieć on, który z natury był niezaradny, który absolutnie nie potrafił walczyć. Jakoż i z jego finansami było „kiepsko“, co oczywiście nie mogło być bez wpływu na humor. Zdawało mu się z początku, że po koncercie, który go tak postawił w opinii, będzie mógł liczyć na lekcye, że z nich będzie miał jaki taki zarobek. Tymczasem zawiódł się i pod tym względem. Ponieważ wszystko, co zamożniejsze, uciekło przed cholerą, więc lekcyj nie było dawać komu. A zresztą inni fortepianiści, których przecież było „jak psów“, zażarcie walczyli o te lekcye. On czekał, aż ludzie sami zgłoszą się do niego, prosząc o lekcye, i jak dotąd czekał naprożno. Jakże wobec tego nie miał być zniechęconym! Z kompozycyj także nie dało się wyciągnąć pieniędzy, bo nakładcy jeszcze się dali prosić, żeby drukowali za darmo, a już płacić — przynajmniej Chopinowi na razie — nie mieli ochoty.

Znalazłszy się w tak przykrem położeniu, z którego wcale nie widział wyjścia, zrozpaczony Chopin wpadł na pomysł, który niezwłocznie, jako zbawienne e u r e k a, zakomunikował rodzicom: żeby pojechać do Ameryki. O ile w Paryżu jest artystów „jak

psów". tam ich niema wcale: ztąd łatwość zarobku, a o to na razie chodziło mu przedewszystkiem. Zapaliwszy się do tej myśli. w której go może różni „przyjaciele" paryscy, pragnący się pozbyć niebezpiecznego współzawodnika. jeszcze utwierdzali, Fryderyk pisał list po liście do domu. starając się przekonać rodzinę. że wygra wielki los na loteryi, skoro opuści Paryż, gdzie niema nic do roboty, gdzie wobec tak wielkiej konkurencyi nic nie wysiedzi z pewnością. a pojedzie do Ameryki. Tam nie on, ale jego będą się prosić o lekcye, tam mu złote dolary same będą napływały do kieszeni. tak pustej w Paryżu! Okazało się jednak. że rodzice byli innego zdania. że wcale nie przekonani listami Fryderyka. nie chcieli słyszeć o tej jego amerykańskiej wyprawie po złote runo! To też odpisali mu. że skoro w Paryżu niema żadnych widoków dla siebie, to niech nie traci czasu. lecz wraca do Warszawy. Wobec tak postawionej kwestyi Chopin znowu nie wiedział, co czynić: bo ile z jednej strony pragnął wrócić do kraju, za którym mu chwilami tak było tęskno, gdzie miał tyle osób drogich, kochanych. gdzie mu tak dobrze było zawsze, o tyle z drugiej strony. kiedy miał wybierać między Paryżem a Warszawą. między stolicą świata. centrum sztuki etc.. a partykularzem, jakim była ówczesna stolica ciemiężonego Królestwa, to mu zaczęło być żal Paryża. Zawsze co Paryż, to nie Warszawa! Nadto przyjaciele jego. tacy. jak Liszt. Hiller, Sowiński. Orłowski. tłumaczyli mu. że powinien zostać w Paryżu, że tylko tutaj może wypłynąć na szerszą widownię, że tylko tutaj może zrobić wielką karyerę artystyczną. podczas gdy wracając do Warszawy, na jej gruncie w obecnych warunkach. tylko zmarnuje swą świetną przyszłość. To nie jest teren dla niego! Cóż. kiedy rodzice nalegali. żeby wracał. Jakoż, pomimo wszelkich perswazyj przyjaciół. którym przyznawał dużo racyi. postanowił zastosować się do woli rodziców. Swoją drogą, o ile do niedawna tak się wyrywał z Paryża. o tyle teraz. kiedy pomyślał. że musi wyjeżdżać. że musi opuścić Paryż. było mu przykro: wolałby zostać. Ale zdecydował się jechać, napisał do domu, że wraca. więc trudno. Nie pozostawało nic innego, tylko pakować rzeczy. bo zbliżał się termin wyjazdu. Jakoż nadszedł już niemal...

Wtem stał się fakt. który w jednej chwili odmienił wszystko. Oto, jak go opisuje dobrze poinformowany Karasowski: „Potrzeba zdarzenia. iż w przeddzień wyjazdu spotkał Chopin na ulicy księcia Walentego Radziwiłła: więc go począł żegnać, oznajmiając zamiar niezwłocznego opuszczenia Francyi. Radziwiłł, nie

śmiejąc stanowczo odradzać, wymógł na nim tyle, iż Fryderyk tego samego dnia udał się z nim na wieczór do Rotschildów. Chopin podniecony widokiem najświetniejszego towarzystwa paryskiego, gdy na prośby gospodyni domu (pewno do tego namówionej przez Radziwiłła) zasiadł do fortepianu, grał i improwizował, jak nigdy jeszcze; słuchacze, do najwyższego stopnia zachwyceni, przesadzali się w oznakach uwielbienia dla jego czarującego talentu. Od tego wieczora, jakby za dotknięciem laski magicznej, położenie Chopina zaczęło się poprawiać: los zwrócił do niego uśmiechnięte swoje oblicze, uchylając mu cokolwiek zasłonę, przez którą przebijała pogodniejsza przyszłość, niby zwiastunka świetności nowo wschodzącego słońca. Natychmiast, jeszcze w salonach u Rotschildów (w czem znowu nie obeszło się pewno bez podszeptów Radziwiłła), otrzymał ktlka zaproszeń do dawania lekcyj na fortepianie w pierwszych domach stolicy; położenie jego materyalne poprawiało się z dnia na dzień; od rodziców nie potrzebując już żadnej pieniężnej pomocy, przestał myśleć o powrocie do Warszawy. Jeszcze się nie skończył rok 1832, a więc upływał zaledwie rok od chwili, gdy stanął na paryskim bruku, a pozycya Chopina, jako pierwszego nauczyciela gry na fortepianie, już była ustalona. Miał pięć godzin lekcyj dziennie, od 11-tej do 4-tej, wszystkie po 20 franków za godzinę. Może zgodziłby się dawać i taniej, ale Platerowie i Czartoryski rozpowiedzieli wśród swoich wszystkich znajomych z arystokracyi paryskiej, że to jest jego stała cena, że mniej nie bierze. A ponieważ zarówno jego uczniowie, jak i uczenice, których była znaczna większość, rekrutowali się wyłącznie z najwyższych sfer towarzyskich, zamieszkujących przedmieścia Saint Germain i Saint Honoré, więc cena ta nie grała żadnej roli. Tym sposobem zarabiając po 100 fr. dziennie, stał się Chopin odrazu „jednym z najbogatszych Polaków“, zamieszkałych w Paryżu.[1]) Niestety, nie zawsze te lekcye, które go materyalnie czyniły niezależnym, równały się przyjemności. Przedewszystkiem, z nielicznymi wyjątkami, nudziły go strasznie. Udzielał ich, ponieważ musiał zarabiać na życie, ale nie można powiedzieć, żeby to wogóle czynił z zamiłowania. Artysta i poeta, nie był stworzony na pedagoga. Był nim z musu. A ponieważ stało się modą wśród dam i panien świata paryskiego, by się módz nazywać uczenicą Chopina, więc nie brakło pomiędzy

---

[1]) Tak go nazwał w jednym ze swych listów gen. Bem. — Zob. Karłowicz, str. 282.

ego uczenicami i takich, których muzykalność wiele pozostawiała do życzenia. Owszem, takich uczenic miał najwięcej. Na prawdę muzykalne i utalentowane. jak panna Paulina Platerówna — a z czasem księżna Marcelina Czartoryska — należały do rzadkich wyjątków. Ale choć dawał lekcye dla zarobku, to jednak do honoraryów przywiązywał bardzo małą wagę. Daleki od zmateryalizowania, o pieniądze nie dbał zupełnie, do tego stopnia, że ciągle nań musiano nalegać, by brał więcej, by nie zadawalniał się tem. co mu ofiarowywano. Tymczasem jemu było wszystko jedno, tak daiece, że nie cofnąłby się nawet przed uczeniem za darmo... To sprawiało, że choć zarabiał dużo, nadzwyczaj był skorym do rozdawania pieniędzy; że zaś między emigrantami nigdy nie brakło takich, co potrzebowali, więc nieraz wyzyskiwano tę jego dobroć i hojność. [1])

Oczywiście, że i na humorze zyskał odrazu i ze zdrowiem czuł się lepiej znacznie i na życie zapatrywał się różowiej. Odbiło się to w jego listach z tego czasu. zarówno do rodziny (do której jednak zaczął pisywać coraz rzadziej. tak. że wciąż otrzymywał skargi z domu, że nie pisze). jak i do przyjaciół. Oto n. p. co w październiku roku 1832 pisał do Dominika Dziewanowskiego: „Między tutejszymi artystami mam i przyjaźń i szacunek. chociaż dopiero rok pomiędzy nimi bawię. Dowodem szacunku jest, że mi dedykują swoje kompozycye. nawet ludzie z ogromną reputacyą. wprzódy. niż ja im. I tak: Pixis swoje ostatnie waryacye z orkiestrą wojskową mnie przypisał: powtóre, komponują waryacye na moje temata. Kalkbrenner mojego Mazurka z w a r y o w a ł; uczniowie konserwatoryum. uczniowie Moschelesa, Herza. Kalkbrennera. słowem artyści skończeni. biorą odemnie lekcye. stawiają imię moje obok Fielda. Słowem, żebym był jeszcze głupszy, myślałbym. że jestem na szczycie mojej karyery. Tymczasem widzę, ile mi jeszcze zbywa. aby być doskonałym, a widzę to tem bardziej. że żyję ściśle z pierwszymi artystami i wiem, czego każdemu niedostaje".

Za lekcyami poszły stosunki z najpierwszymi domami w Paryżu. wśród najwyższej arystokracyi, wśród ambasadorów, książąt. markizów. hrabiów etc., nie wyłączając oczywiście i *haute finance*. W dzień zajęty lekcyami. wszystkie wieczory spędzał „w świecie". które bardzo często przeciągały się późno w noc. Ztąd i wydatki

[1]) Z r o z m ó w o C h o p i n i e (z opowiadania pani Emilii z Borzęckich Hoffmanowej) K r a j, 1900, Nr. 33.

zwiększały się z dniem każdym, bo jako prawdziwy *arbiter elegantiarum*, do stroju przywiązujący niemniejszą wagę, jak największa elegantka. Chopin zaczął nie tylko żyć z arystokracyą, ale i nie liczyć się z groszem, jak jakieś książątko. „Pięć lekcyi mam dzisiaj dać — pisał do przyjaciela — myślisz, że majątek zrobię? Kabryolet więcej kosztuje i białe rękawiczki, bez których nie miałbyś dobrego tonu“. A zresztą w świecie, w którym bywał teraz, a w którym go sobie rozrywano poprostu, pieszczono, wyróżniano, sadzano na pierwszem miejscu, uprzedzano wszelkie zachcenia i kaprysy — bo miał już i kaprysy — musiał dostrajać się do arystokratycznego kamertonu, co mu zresztą nie sprawiało żadnej przykrości, przeciwnie, stało się drugą naturą. O tych swoich stosunkach w wielkim świecie, w którym miał tak niezwykłe powodzenie, tak pisał Chopin w r. 1832 do Dziewanowskiego: „Rozerwany jestem na wszystkie strony. Wszedłem w pierwsze towarzystwa, siedzę między ambasadorami, książętami, ministrami, a nawet nie wiem, jakim cudem, bom się sam nie piął. Dla mnie jest to dziś rzecz najpotrzebniejsza, bo ztamtąd niby dobry gust wychodzi; zaraz masz większy talent, jeżeli cię w ambasadzie angielskiej lub austryackiej słyszano:, zaraz lepiej grasz, jeżeli cię księżna Vandemont (ostatnia ze starożytnego rodu Montmorency) protegowała. P r o t e g u j e nie mogę napisać, bo baba przed tygodniem umarła. A była to dama nakształt nieboszczki Zielonkowej lub kasztelanowej Połanieckiej, u której dwór bywał, która bardzo wiele czyniła dobrego, wielu arystokratów przechowywała podczas pierwszej rewolucyi. Pierwsza po dniach lipcowych przedstawiła się na dworze Ludwika Filipa. Żywiła koło siebie mnóstwo białych i czarnych piesków, kanarków, papug, a przytem posiadała najzabawniejszą w tutejszym wielkim świecie małpę, które na wieczornych przyjęciach inne... kontesy... kazała“. Ostatni dowcip może służyć za dowód, że Chopinowi nie bardzo imponował ten świat arystokratyczny paryski, że choć w nim był „rozrywany na wszystkie strony“, to jednak — jak przystało na przyjaciela Mochnackiego — w gruncie rzeczy był usposobiony demokratycznie, co zresztą było modą na emigracyi.

Cokolwiekbądź, cokolwiek sobie w głębi duszy myślał o tych wszystkich „kontesach“, p r i n c i p e s s a c h i b a r o n e s s a c h, w każdym razie było faktem, że wszedłszy do tego wielkiego świata, „siedział między ambasadorami, książętami, ministrami“. Przez tych ambasadorów należy rozumieć trzech: lorda Rothsay Stuarta, ambasadora angielskiego, hrabiego Apponyi, ambasadora

austryackiego i barona Stockhausen, ambasadora holenderskiego. Z pomiędzy tych trzech ambasadorskich domów, jako dom muzykalny, pierwsze miejsce zajmował salon hrabiostwa Apponyi, których wieczory muzykalne, uświetniane popisami największych znakomitości artystycznych, miały swoją sławę w Paryżu. Szczególniej muzykalną była hrabina Apponyi, przyjaciółka Liszta, a dla Chopina, jako jego uczenica, pełna najwyższego uwielbienia. Podobny stosunek łączył go z baronostwem Stockhausen, gdzie również nie wiedziano, gdzie go posadzić. Niemniejsze względy okazywano mu w domach książęcych, czy to w domu księstwa de Noailles, gdzie dawał lekcye księżniczce,[1]) czy to w otwartym domu księżnej Belgiojoso, o której zaletach piszą z takim entuzyazmem Heine i Balzak.[2]) Domem, którego dostojny gospodarz stał się nie tylko gorącym wielbicielem geniuszu Chopina, ale i jego serdecznym, szczerze oddanym przyjacielem, był muzykalny dom margrabiego Adolfa de Custine, jeden z pierwszych domów w Paryżu, a przytem jeden z najmilszych. Chopin korzystał tu ze wszystkich przywilejów, jakie mogą przysługiwać ulubieńcowi pana i pani domu.[3]) Nazywano go tam *Polonniaiseur*. Między hrabiowskimi domami, z którymi Chopina łączył stosunek przyjaźni, pierwsze miejsce zajmował świetny dom hr. Karola Flahault, słynnego lowelasa, który tak decydującą rolę odegrał w życiu i sposobie prowadzenia się Delfiny Potockiej, (którą, jak powiada Krasiński, „przepsuł“ jeszcze przed rokiem 1830). Hrabia Flahault, niegdys, jako adjutant, ulubieniec Napoleona i... królowej Hortenzyi, był ożeniony ze Szkotką, baronówną Keith, dziedziczką wielkich posiadłości w Szkocyi.[4]) Dom państwa Flahault, w najarystokratyczniejszej dzielnicy Saint-Honoré, co niedziela otwierał swoje podwoje, a jako taki cieszył się opinią jednego z najbardziej gościnnych, najwięcej uczęszczanych. Stałym gościem bywał tu Tayllayrand... Obie hrabianki Flahault, panny Emilia

---

[1]) O księżnej de Noailles, córce księcia Monchy obszerniej pisze w swych pamiętnikach A. E. Koźmian.

[2]) Heine w *Kunstberichte aus Paris*, Balzak w *Lettres à l'Etrangère*.

[3]) O serdecznej przyjaźni, jaką margr. de Custine miał dla Chopina, świadczą jego listy do niego, których zachowało się kilkanaście, a które czytelnik znajdzie streszczone w książce M. Karłowicza.

[4]) Tutaj z pewnością poznał się Chopin z czasem z panną Jane Stroling, krewną pani Flahault.

i Klementyna, były uczenicami Chopina.[1]) Były niemi również hrabiny i hrabianki Caraman, Fürstenstein, Germain, Pertuis,[2]) Esterhazy, Branickie, d'Haussonville, de Lobau, Komarówny i wiele innych o najświetniejszych nazwiskach. We wszystkich tych domach bywał Chopin nie tylko w roli nauczyciela, ale go z nimi łączył stosunek towarzyski. Jeżeli chodzi o hrabiowskie domy, to jeszcze należy wymienić dom hrabiny d'Agoult, która przed rokiem 1836 stale mieszkała w Paryżu, przyjmując wszystkich przyjaciół Liszta, a więc prawie cały świat muzyczny paryski. Chopin cieszył się jej wyjątkowymi względami. Po hrabiowskich przychodziła kolej na domy baronowskie. Tutaj prym trzymał dom Rotschildów. Pani Rotschild zaliczała się do stałych uczenic Chopina. Nic semickiego nie mieli w sobie baronostwo d'Est, a baronowa d'Est była nie tylko pilną uczenicą, ale i szczerą przyjaciółką Chopina.

Równie wielką, jak utytułowanych, była liczba nieutytułowanych przyjaciół i przyjaciółek, uczniów i uczenic Chopina. Tutaj na pierwszem miejscu należy wymienić otwarty dom bankiera Leo, który w swych salonach na rue du Mont Blanc gromadził cały paryski świat literacki i artystyczny. Chopin i Heine cieszyli się szczególnymi względami u „Leona“, jak go w listach nazywał Chopin, który też, ile razy był w chwilowych kłopotach pieniężnych — co mu się zdarzało niekiedy, zawsze w takich razach mógł liczyć na tego „żyda szelmę“, jak na Zawiszę. Domami, w których Chopin bywał częstym gościem, gdzie dużo muzykowano, były nader miłe domy państwa Freppa, Eichthal i Albrecht, braci Tilmant, abbé Bardin i w. i. Do jego najlepszych uczenic, biorących lekcye u niego, należały panny Muker i Hatmann i inne. Trudno wymieniać wszystkie. Lista byłaby zbyt wielka.

W każdym razie nie przesadzał Chopin, kiedy pisał do Dziewanowskiego, że jest „rozerwany na wszystkich“. To też rozerwany od rana do późnej nocy, często do rana, zaabsorbowany lekcyami i życiem towarzyskiem, ciągle zapraszany na śniadania, na obiady, nie wiele miał czasu dla siebie, nie wiele był sam.

Ale też i nie szukał samotności. Zawsze wolał mieć kogoś przy sobie, tak dalece, że z chwilą, kiedy się poprawiły jego in-

---

[1]) Zob. list jednej z nich, pisany do Chopina, a ogłoszony w książce Karłowicza, str. 292.

[2]) Hrabia Pertuis, był adjutantem króla Ludwika Filipa. Za jego pośrednictwem wejdzie Chopin w stosunki z dworem.

teresy, niebawem porzucił swe małe mieszkanko na Cité Bergère 4, dokąd się w połowie r. 1832 przeprowadził z Boulevard Poissonière i wziął większe mieszkanie po dr. Francku przy rue de la Chaussée d'Antin 5.[1]) w którem zamieszkał razem ze swym przyjacielem jeszcze z Warszawy, doktorem Aleksandrem Hoffmannem.[2]) Dzielny lekarz, który po ukończeniu medycyny w Berlinie, właściwą praktykę rozpoczął na polach bitew w r. 1831, a potem w Paryżu powiększył liczbę emigrantów, Hoffmann był wymarzonym towarzyszem dla Chopina, bo nie tylko miał nadzwyczaj zgodne usposobienie, ale nadto był bardzo muzykalnym z natury.

F. Hoesick.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[1]) List Chopina (Franchomme'a i Liszta) do Hillera, z d. 20. czerwca 1833, już jest pisany z tego mieszkania.

[2]) W liście z d. 7. grudnia 1833 pisze Mikołaj Chopin do Fryderyka: „Mille et mille belles choses à Mr. Hoffmann; que je suis aise que vous êtes ensemble!“

Szkoły i wychowanie polskie na emigracyi ekonomicznej.

(Ciąg dalszy).

Jak dotąd Polonia północno-amerykańska skupiła główne siły około organizowania szkół parafialnych. Szkoły tego typu są zakładami równoległymi do amerykańskich szkół publicznych czyli według naszej utartej terminologii szkół ludowych początkowych. Szkoła publiczna (public school) jest fundamentem całego systemu szkolnego amerykańskiego. To samo znaczenie mają w systemie szkolnym polsko-amerykańskim polskie szkoły parafialne. Jak tam tak i tu uczą się dzieci mniej więcej od roku 6 do 14, w którym to wieku istnieje w Ameryce powszechny przymus szkolny.

Chociaż szkoły parafialne polskie odpowiadają co do stopnia nauki publicznym szkołom amerykańskim, to istnieją jednak pomiędzy jednemi a drugiemi pewne częściowo zasadnicze różnice. Przedewszystkiem szkoła parafialna polska jest wyznaniową, katolicką podczas gdy szkoły publiczne amerykańskie są bezwyznaniowemi z pewnym jednak podkładem protestanckim.

W szkołach publicznych amerykańskich w przeważnej ich części jest system koedukacyjny, w szkołach parafialnych polskich uczą się osobno dziewczęta a osobno chłopcy.

Językiem wykładowym w szkołach amerykańskich publicznych jest tylko język angielski. organem szkoły amerykańsko-polskiej jest język polski i angielski.

Z reguły obowiązuje wykład w języku polskim dla nauki religii oraz dla wszystkich przedmiotów polskich, jak sam język polski, dzieje ojczyste, geografia Polski, wiadomości z literatury polskiej. Zresztą z zasady język polski jako wykładowy ma przewagę nad angielskim w niższych klasach szkół parafialnych polskich, a na odwrót angielski nad polskim we wyższych klasach tychże szkół. W początkowych klasach nauka rachunków i niektórych innych przedmiotów odbywa się, ale i to nie wszędzie, w języku polskim.

Języka angielskiego używa się natomiast przy nauce samego języka angielskiego oraz we wyższych klasach przy wykładzie rachunków, geografii, historyi Stanów zjednoczonych, nauk przyrodniczych, fizyki, oraz po większych miastach przy nauce buchalteryi i stenografii.

Znajomość języków wykładowych dzieci polskich przy wstępowaniu do szkoły jest nierówna.

Dzieci sześcioletnie emigrantów, niedawno w Ameryce osiadłych, wstępując do szkoły, nie umieją po angielsku, dzieci zaś starszej generacyi wychodźców polskich, zrodzone na ziemi amerykańskiej, władają zazwyczaj biegle językiem angielskim, ale za to źle językiem polskim. Jest zatem zadaniem pierwszych klas szkoły parafialnej wyrównać te nieraz rażące różnice w duchu interesu narodowo-polskiego i w duchu praktycznej użyteczności życiowej.

Różnica pomiędzy szkołami parafialnemi polskiemi a szkołami amerykańskiemi publicznemi leży jeszcze w tem, że te, utrzymywane kosztem państwa, uczą dzieci bezpłatnie, tamte zaś, nie mając innych środków egzystencyi, utrzymują się ze składek czyli opłat szkolnych gminnych, a nareszcie i w tem, że polskie szkoły parafialne, przyjmując w zasadzie organizacyę i program szkół publicznych, muszą uczyć przedmiotów czysto polskich i uczyć dzieci drugiego czyli swojego głównego języka wykładowego, języka polskiego.

Program nauki i jej zakres w poszczególnych szkołach nie jest widocznie jednaki i nie może być jednakim z powodu najrozmaitszych warunków lokalnych i środków materyalnych, którymi dana szkoła rozporządza.

Są w Ameryce północnej szkoły polskie, które zaledwie wegetują, które nie mają ani warunków rozwoju, ani odpowiedniego nauczyciela, ani należytej opieki i kierownictwa, takie szkoły uczą widocznie tego, na co je stać, uczą mało, daleko im do wyczer-

pania planu naukowego nawet w najmniejszem minimum. Obok takich szkół istnieją szkoły zamożne, urządzone dostatnio, kierowane przez kwalifikowanych zdolnych pedagogów, oparte na pewnej materyalnej podstawie, takie szkoły mogą widocznie stanąć na wysokości zadania swego i dorównać nie tylko publicznym amerykańskim pod względem naukowym, lecz spełnić nadto swój specyficznie polski program.

Normalnie i w całości rozwinięta szkoła parafialna polska podobnie jak szkoła amerykańska publiczna składa się z dwóch kursów: z kursu elementarnego (primary school), rozdzielonego na pięć względnie cztery lata nauki czyli pięć a względnie cztery klasy oraz z kursu wyższego (grammar school), rozłożonego także na cztery lata czyli tyleż klas. Kurs elementarny obejmuje zatem prócz przypadkowej klasy przygotowawczej pierwsze cztery klasy (I.—IV.), a kurs wyższy cztery ostatnie klasy (V.—VIII.). Ma więc każda szkoła parafialna polska zupełna, nie licząc oddziału przygotowawczego, ośm stopni nauki, rozłożonych na 8 lat, t. j. od 6—14 roku życia.

W zakres programu naukowego zupełnej 8-klasowej, a względnie 9-klasowej szkoły parafialnej polskiej wchodzi około 16 rozmaitych przedmiotów nauki, a mianowicie: Religia i historya biblijna, język polski i angielski z pewnym zasobem wiadomości literackich, arytmetyka z algebrą, buchalterya i prawo handlowe, kaligrafia, stenografia i pismo maszynowe oraz rysunki, historya i geografia, fizyologia, gimnastyka, roboty ręczne oraz śpiew.

Wszystkim klasom, wstępnej nie wyjmując, przydzielono jako przedmioty obowiązkowe: religię, oba języki wykładowe, polski i angielski, arytmetykę z algebrą, rysunki i kaligrafię. Te więc przedmioty trzeba uważać za główne podstawy edukacyi publicznej amerykańsko-polskiej.

Rozpatrzmy ten program w szczegółach.

W zakres nauki religii wchodzi: katechizm, historya biblijna i historya kościoła. W r. 14-tym a czasem i wcześniej przystępują dzieci polskie do komunii świętej, zamykając tym aktem edukacyę szkolną.

Program nauki języka polskiego obejmuje ćwiczenia w ustnem i piśmiennem używaniu języka, ćwiczenia ortograficzne, lekturę, naukę gramatyki a w klasie VII. i VIII. stylistykę z głównemi zasadami wymowy polskiej oraz nareszcie w najwyższej klasie VIII. zarys literatury polskiej.

Do nauki języka polskiego używają szkoły amerykańsko-polskie: Elementarza, a w dalszym ciągu Pierwszej, Drugiej, Trzeciej i Czwartej książki polskiej Spółki wydawniczej polskiej albo książek Dyniewicza albo Smulskiego, Mniejszej Gramatyki polskiej Małeckiego, Przyjaciela dzieci części I. i II., Wypisów z autorów polskich oraz rozmaitych podręczników historyi literatury polskiej.

Nauka języka angielskiego idzie równolegle z nauką języka polskiego i stara się ucznia doprowadzić do zupełnej wprawy w ustnem i piśmiennem władaniu tym drugim językiem wykładowym oraz do poznania główniejszych zjawisk literatury angielskiej.

Nauka języka angielskiego przynosi dzieciom polskim podwójną korzyść: daje im te wszystkie przywileje, które daje ukończenie publicznej szkoły amerykańskiej, i przez wzgląd na te przywileje wykonywa rząd pewną kontrolę nad szkołami amerykańsko-polskiemi, a powtóre opanowanie języka angielskiego w mowie i piśmie przysparza wychowankom szkół polskich jeden z ważnych środków w życiu ekonomiczno-społecznem amerykańskiem.

W zakres nauki arytmetyki wchodzą wszystkie cztery działania liczbami całemi, ułamkami prostymi i dziesiętnymi, reguły procentu, potęgowanie i algebra.

W dwu klasach najwyższych uwzględnia się w związku z matematyką w klasie VII. i VIII. buchalteryę i prawo handlowe, a w związku z kaligrafią w klasie VIII. stenografię i pismo maszynowe.

Znamiennem jest dla szkół amerykańskich nauczanie rysunków i kaligrafii, rozciągające się na cały ośmioletni tok nauki i prowadzone z całą systematycznością według ściśle określonych planów. W nauce kaligrafii jest w powszechnem użyciu metoda Palmera, polegająca na mięśniowym ruchu pisma.

Rysunki i kaligrafia reprezentują estetyczny kierunek nauki w szkołach amerykańskich publicznych i amerykańsko-polskich. W tym kierunku ma też oddziaływać nauka śpiewu, ciągnąca się przez wszystkie klasy z wyjątkiem VIII. Nauka śpiewu obejmuje śpiew kościelny i świecki, a w śpiewie świeckim zarówno pieśni polskie jak angielskie na jeden lub dwa głosy.

Do nauki śpiewu polskiego we wyższych klasach używają szkoły albo części pierwszej „Szkoły śpiewu“ prof. A. Małłka albo „Śpiewnika dla użytku Polaków w Ameryce“, opracowanego przez muzyka A. J. Kwasigrocha i poetę-liryka S. Zahajkiewicza.

Poważne miejsce w programie naukowym szkół amerykańsko-polskich zajmuje także nauka historyi, przydzielona klasom III. do VIII. włącznie i nauka geografii, pomieszczona w planie klasy II. do VII. włącznie. Odnośne plany naukowe uwzględniają w zarysie historyę i geografię powszechną, główny jednak nacisk kładą na historyę i geografię Stanów zjednoczonych oraz na ich konstytucyę, a w szkołach amerykańsko-polskich także na historyę i geografię Polski. Historya Polski nie bierze się widocznie w zakresie szerszym i pogłębionym. Podręcznik popularny Józefa Chociszewskiego p. t. „Dzieje narodu polskiego“ jest w powszechnem użyciu.

Edukacya fizyczna jest w szkołach amerykańsko-polskich potrosze zaniedbana. Gimnastyki a względnie rozmaitych robót ręcznych uczą zaledwie w klasie przygotowawczej i w dwu pierwszych klasach.

A już całkiem zaniedbane są nauki przyrodnicze. Znane mi plany naukowe szkół parafialnych polskich nie wykazują osobno tych przedmiotów. Znajdujemy w nich jako osobny przedmiot tylko fizyologię, pomieszczoną w planie naukowym klasy VII. i VIII.

Po ukończeniu 8 a względnie 9 klasy robi się rodzaj matury z sześciu przedmiotów, a na tem zazwyczaj przeciętny Amerykanin kończy swoje wykształcenie. Gdy się chce uczyć dalej, to albo wieczorami chodzi do rozmaitych zakładów prywatnych na naukę mechaniki, buchalteryi i t. d., albo idzie na kurs klasyczny, który go przygotowuje do Uniwersytetu.

Kursa, w szkołach amerykańsko-polskich, jeżeli szkoły te chcą się pod względem naukowym utrzymać na wysokości szkół publicznych amerykańskich, są trudniejsze niż w tychże szkołach publicznych, bo prócz przedmiotów wspólnych są w ich planach przedmioty polskie, jest zwłaszcza język polski, który trzeba traktować z całą troskliwością.

Rok szkolny w szkołach amerykańskich publicznych i amerykańsko-polskich trwa jak u nas od 1. września do końca czerwca, ale w ciągu roku niema dłuższych przerw, za to wolne są od nauki, prócz niedziel także soboty, a przytem także niektóre święta kościelne i krajowe.

Nauka jest dwurazowa. Rozpoczyna się o 8 rano, a kończy o 11½, a po południu trwa od 1 do 4. Poszczególne godziny dzielą dłuższe lub krótsze pauzy, najdłuższa pauza trwa cały kwadrans. Naukę ranną poprzedza zazwyczaj msza święta dla dzieci.

7. Liczba szkół parafialnych polskich północno-amerykańskich rosła prędko, ale była zawsze i jest obecnie w stosunku do ludności polskiej za mała.

Najpierwsza i najstarsza szkoła parafialna polska powstała w pierwszej najstarszej parafii i przy pierwszym najstarszym kościele parafialnym w osadzie polskiej, zwanej Panna Marya w Texas. Założył ją około r. 1866 Zmartwychwstaniec ks. Bakanowski, a uczył w niej Piotr Kiołbasa, pierwszy zdaje się nauczyciel świecki polski na drugiej półkuli.

Drugą najstarszą szkołą północno-amerykańską polską jest niezawodnie szkoła św. Stanisława biskupa i męczennika w Milwaukee, Wis. Powstała w r. 1867 staraniem ks. Jastra i przy pomocy obywatela Wilczewskiego. Uczyła w niej siostra Tyta, pierwsza nauczycielka Polka w Ameryce.

Liczba szkół rosła w miarę wzrostu ludności polskiej a raczej w miarę organizowania się nowych parafii polskich. Gdzie parafia była uboga i nie mogła utrzymać szkoły i nauczyciela, tam zazwyczaj proboszcz uczył dzieci polskie języka polskiego i religii w języku polskim. Jako zasadę do obliczenia szkół można przyjąć, że szkół polskich parafialnych było i jest w Ameryce północnej nieco mniej, aniżeli rzeczywiście zorganizowanych parafii polskich, bo nie każda parafia może utrzymać szkołę.

Według obliczenia ks. Kruszki było w Ameryce północnej z początkiem tego stulecia około 400 szkół polskich rzeczywiście zorganizowanych, posiadających i utrzymujących własnych nauczycieli lub nauczycielki. W tej liczbie miało pełne ośm a względnie dziewięć stopni czyli osobnych klas, nie licząc klas równorzędnych, tylko około 8 szkół; reszta posiadała szkoły o mniejszej liczbie stopni.

W roku 1907 obliczono liczbę szkół polskich na blisko 500.

Ilość dzieci uczęszczających do poszczególnych szkół parafialnych jest bardzo nierówna, wynosi od 40 do kilku tysięcy. Szkoła św. Stanisława Kostki w Chicago miała w r. 1907 przeszło 3.600, a w 1908 r. już około 4.000 dzieci.

Ogólna cyfra dzieci polskich, korzystających z nauki w szkołach polskich, trudna do obliczenia, wynosiła w r. 1887 według rachunku ks. Barzyńskiego około 14.150. W r. 1901 ks. Kruszka, autor mozolnej i obszernej pracy p. t. Historya polska w Ameryce, naliczył dzieci uczęszczających do szkół północno-amerykańskich parafialnych 69.919, z czego na samo miasto Chicago przypadło 15.120 dzieci.

A jakie rezultaty naukowe wynoszą te rzesze dzieci ze szkół parafialnych polskich? Jaki jest poziom naukowy tych zakładów? Jak wygląda działalność szkoły parafialnej polskiej w porównaniu z amerykańską szkołą publiczną? Zdania są tu podzielone. Kto patrzał na dobrą część szkół amerykańskich polskich i obserwował ją w koloniach, gdzie pragnienie oświaty szkolnej jest żywsze, ten orzeknie, że ogół szkół amerykańsko-polskich stoi na wysokości swego zadania, i zrozumie, że nawet rządowa komisya w sprawozdaniu z wystawy chicagowskiej mogła przyznać tym szkołom pod względem naukowym szczególne pochwały. Ale też te szkoły, które na tę pochwałę zasłużyły, to śmietanka szkolnictwa polskiego północno-amerykańskiego. Ogół tych szkół i rezultaty ich działania nie przedstawiają się tak wesoło.

Nauczyciele i nauczycielki Polacy, którzy pracowali w szkołach publicznych amerykańskich wśród ludności mięszanej polsko-niemiecko-amerykańskiej, stwierdzają fakt, że dzieci polskie, wychodzące z tych szkół, na ogół biorąc, nie posiadają tych wiadomości, co dobrze prowadzone dziecko amerykańskie: że mają myśl całkiem nie wdrożoną do pracy książkowej, o rządzeniu swą małą osóbką nie mają pojęcia, do życia wśród ruchliwej ludności Ameryki są mało przygotowane, nie mają pojęcia, co kraj ma im do ofiarowania i jak to sobie zdobyć mogą. Wychodzą w świat, by być ciągle na pasku czyimś wodzone lub by wolności nadużyć.

Na stan oświaty szkolnej polsko-amerykańskiej rzuca wiele światła sumienne studyum p. Heleny Piotrowskiej, z którego tu wyjmuję odnośne szczegóły.

Dzieci emigrantów polskich biorą co prawda coraz znaczniejszy udział w oświacie szkolnej, ale nie sięgają po wyższą oświatę szkolną elementarną.

W stanach, posiadających znaczną ludność polską, procent analfabetów wśród dzieci od lat dziesięciu do czternastu, zrodzonych z rodziców przybyłych do Ameryki, przedstawia się według statystyki urzędowej z r. 1900 bardzo korzystnie, korzystniej od procentu analfabetów pomiędzy dziećmi w tym samym wieku, zrodzonemu z rodziców białych amerykańskiego pochodzenia. Są to stany New York, New Jersey, Pensylwania, Ohio, Indiana i Illinois. Przewaga analfabetów po stronie dzieci rodziców, przybyłych do Ameryki, zresztą przewaga nieznaczna, jest tylko w stanie Michigan i Wisconsin.

To garnięcie się do oświaty ma rozmaite pobudki, ale głównym czynnikiem są rozporządzenia stanowe, domagające się, aby

każde dziecko chodziło pewną ilość lat do szkoły, zwykle od 8—14 roku, obojętna do jakiej szkoły, publicznej czy prywatnej. W stanie Michigań w dystryktach rolnych prawo przymusu szkolnego wymaga tylko czterech miesięcy w roku, a w Wisconsin przymus szkolny został wprowadzony dopiero w r. 1901.

Przymus szkolny jest skutecznym czynnikiem szerzenia oświaty. Uchylających się od wykonania ustawy o przymusie szkolnym czeka kara pieniężna od 5—25 dolarów, a w niektórych stanach do 50 dolarów, stosownie do tego, czy przestępstwo popełniono raz pierwszy, czy też powtórzono wielokrotnie. Stopniom kary odpowiada ustopniowana kara więzienna w razie, gdy winny zapłacić nie może.

Równolegle zwalcza analfabetyzm i wspiera prawo o przymusie szkolnym prawo ochronne pracy dzieci. W stanach, w których najwięcej jest Polaków, i które nas zatem najbardziej interesują, ustawa o ochronie zabrania przyjmować dzieci do pracy przed ukończonym 14 rokiem życia, a nawet po 14, jeżeli dziecko nie spędziło pewnego czasu w szkole.

Prawo to ma doniosłe znaczenie we walce z analfabetyzmem, bo do uzyskania pracy potrzebne jest świadectwo szkolne, jako dowód, że ubiegające się o pracę dziecko umie co najmniej czytać płynnie po angielsku i pisać czytelnie proste zdania w tymże języku. Niewiele to jest. Ostatecznie jednak nie wszystkie dzieci polskie zdobywają to minimum wykształcenia. Wiele rodziców umie za pomocą wykrętów i przebiegłości obejść prawo, oddaje dzieci do pracy przed ukończonym 14 rokiem życia, nie umiejące czego potrzeba, nie mające świadectwa pracy (Labor certificate). We fabrykach unikają starannie inspektorów fabrycznych aż do 16 roku życia, kiedy prawo ochronne przestaje obowiązywać.

A jak się ma sprawa z dalszem wykształceniem dzieci polskich? Dopiero przewyżka nad rządowe minimum będzie miarą i zdolności dzieci polskich w Ameryce i zrozumienia przez rodziców pożytku, płynącego z oświaty i miarą nareszcie energii wychodźctwa polskiego.

Z przysłanych mi uprzejmie przez pannę Helenę Piotrowską z Itaki N. Y. materyałów wyjmuję szereg ciekawych szczegółów.

Normalny przebieg wykształcenia elementarnego dziecka polskiego jest taki: Dziecko polskie kończy mniej więcej w 12 roku życia szkołę parafialną i przystępuje do komunii świętej, potem idzie na rok lub dwa do szkoły publicznej. Często przed wstąpieniem do szkoły polskiej przechodzi dwa lub trzy stopnie szkoły

publicznej. Rezultat jest taki, że do roku 14 kończy cztery najwyżej pięć stopni t. j. otrzymuje wykształcenie, przeznaczone dla ośmioletniego dziecka amerykańskiego i z takim zasobem umysłowym idzie w życie: najprzód do pracy, potem do zakładania ogniska domowego, wreszcie do życia obywatelskiego. Życie przynosi takiej niedokształconej jednostce wiele gorżkich zawodów: iwiększość Polaków pod względem umysłowym pozostaje dzieciem do śmierci

Panna Piotrowska w braku źródeł statystycznych, obejmujących całe Stany Zjednoczone, ilustruje tę kwestyę ścisłemi datami, zaczerpniętemi ze szkół publicznych w Buffalo w polskiej dzielnicy miasta, a więc wśród ludności prawie jednolicie polskiej, ze szkół z dziećmi przeważnie polskiemi. Cyfry bierze z „stanowego cenzusu szkolnego“ za rok 1906.

W trzech szkołach publicznych w polskiej dzielnicy jest dzieci w wieku szkolnym, w wieku od 8 do 14 lat, razem 2.072, powyżej tego wieku tylko 208: pomiędzy temi ostatniemi są tylko nieliczne jednostki polskie.

W tych samych dzielnicach polskich do polskich szkół parafialnych chodzi 3.647 dzieci w wieku od 8 do 14 lat, a powyżej tego wieku tylko 26. W tych cyfrach mamy dowód, że polska ludność posyła dzieci do szkoły tylko wtedy, gdy musi. Wyjątki są nieliczne.

A jak się rozdziela frekwencya dzieci polskich na poszczególne szkoły? Odnośne cyfry podadzą zasób wiedzy, którą młode pokolenie polskie wynosi w życie.

W Buffalo w tych samych trzech szkołach publicznych, razem wziętych na pierwszym stopniu nauki jest 1.007 dzieci, na drugim 580, na trzecim 485, na czwartym 339, na piątym 272, na szóstym 182, na siódmym 116, na ósmym 74, na dziewiątym 22. Od stopnia czwartego frekwencya obniża się gwałtownie, a w klasach wyższych Polacy są wyjątkami.

I znów trzeba stwierdzić fakt smutny, że w Buffalo, w typowej kolonii polskiej w Stanach Zjednoczonych, dzieci polskie otrzymują tylko połowę tych nauk elementarnych, jakie są koniecznie potrzebne dla przeciętnego obywatela amerykańskiego.

Co za wykształcenie wynosi więc dziecko polskie w Ameryce północnej ze szkoły? Kończąc czwartą klasę do chwili przyjęcia komunii świętej, przeczytało dziecko w korzystnych warunkach mnóstwo powiastek i wierszy, nauczyło się wiele z nich na pamięć, wyćwiczyło się w pisaniu łatwiejszych wyrazów angiel-

skich; w szkole parafialnej polskiej douczyło się do tego katechizmu, historyi świętej polskiego czytania i pisania. ewentualnie przy sprzyjających okolicznościach trochę gramatyki i historyi polskiej, a więc posiadło same tylko początki wykształcenia. Poza tem zdobyło sobie mało co. Ono odchodzi, gdy inne dzieci będą pracowały jeszcze całe cztery lata i to w wieku już rozwiniętym. Odchodzi. zacząwszy zaledwie robić zadania piśmienne, odchodzi, dotknąwszy zaledwie nauki o ułamkach, a nie nauczywszy się wcale rozwiązywać trudniejszych praktycznych zadań rachunkowych. Z geografii poznało zaledwie geografię Stanów Zjednoczonych w najogólniejszych zarysach, a zresztą mało co więcej. Poznało urządzenia cywilne i historyę miasta lub miejscowości amerykańskiej, którą zamieszkuje, i do tego historyę odkrycia Ameryki. ale odchodzi bez znajomości historyi całego kraju. Z nauk przyrodniczych nabrało pojęcia o kilku najpospolitszych roślinach i zwierzętach swej okolicy, o ich pożyteczności i pięknie przyrody z kilku poemacików. Ze zajęć ręcznych nauczyło się trochę rysunku, modelowania w glinie, początków koszykarstwa, ale odchodzą chłopcy bez oswojenia się z wyrobami w drzewie i żelazie, oraz z trudniejszem koszykarstwem i posuniętym rysunkiem, a dziewczęta, nie nauczywszy się szycia.

Na każdem polu nauka dla dzieci polskich urywa się wówczas, gdy z łatwej i przygotowawczej miała się stać pełniejszą, rozleglejszą. A ponieważ nauka rozwija umysł, to też rozwój umysłowy z jej ustaniem musi ustać, pozostaje w stadyum dziecinnem.

Z lekceważenia nauki elementarnej rodzi się u Polaków amerykańskich ubóstwo i niedołęstwo umysłowe a równocześnie chwiejność i słabość charakteru. Rutyna szkolna zrobiła dla dziecka o połowę mniej, niż mogła zrobić: dobre przyzwyczajenia nie mogły utrwalić się dostatecznie, szlachetne zamiłowania nie mogły się ukształtować, a indywidualność dziecka objawić się i rozwinąć. Idzie ono w świat jak nieociosana bryła i wpada w ręce tych, którzy potrafią je najlepiej zużytkować dla siebie.

Przyczyny zjawiska, że Polacy tak lekceważą wykształcenie elementarne, są wielorakie. Panna Piotrowska zestawia najważniejsze i dzieli je na ekonomiczne, społeczne i psychiczne.

Ze względów ekonomicznych posyłają rodzice dzieci do pracy, aby zarabiały, a bierze je do pracy pracodawca, bo zyskuje taniego robotnika. Dzieci padają ofiarą chęci zysku: rodziców winić

nie można, bo oni nawet nie zdają sobie sprawy, że szkodzą dzieciom własnym; trzeba ich w tym kierunku oświecać.

Społeczne stosunki są nienaturalne i za mało uregulowane. Dziecko polskie musi pobierać naukę w dwu językach naraz i w dwu niejednako zorganizowanych szkołach.

Nauka w języku obcym sprawia dzieciom trudności znaczne, a samo wyuczenie się drugiego języka jest niełatwe. Tej jednak przyczyny nie można usunąć, można ją tylko roztropnem pokierowaniem nauki złagodzić.

Za to spada odpowiedzialność na kierownicze sfery polskie w Ameryce, że programu nauki w polskich szkołach parafialnych nie dostroiły należycie do programu nauki w szkołach publicznych tak, iżby przechodzenie z jednych szkół do drugich mogło się odbywać bez straty czasu. Obecnie w równoległych klasach szkół parafialnych polskich nie uczą pewnych przedmiotów wcale, a innych nie tak intenzywnie. Skutek jest ten, że dzieci polskie, ukończywszy w szkołach polskich pewną klasę, muszą w szkołach publicznych wstąpić do klasy niższej, chociaż wiekiem należą do wyższej. W ten sposób dzieci marnują czas i tracą ochotę do nauki. A samo przeskakiwanie ze szkoły do szkoły pod względem wychowawczym korzystne być nie może. Szkoły parafialne polskie potrzebują pilnych reform w niejednym kierunku.

Główne przyczyny psychiczne upatruje p. Helena Piotrowska w ciemnocie rodziców, w braku kontroli nad dziećmi, w słabości dla nich i w braku systemu w życiu domowem.

Ciemnota rodziców nie jest ich winą, ale jest ich nieszczęściem. Przedewszystkiem nie rozumieją oni znaczenia oświaty, uważają szkołę za zło konieczne. Zaczynają dzieci posyłać do szkoły jak najpóźniej, a zabierają je z niej jak najwcześniej.

W ciemnocie swej nie pojmują, że dzieci i w najmłodszym wieku mogą się w szkole czegoś dobrego nauczyć, a że na ulicy uczą się wiele złego. Dziecko czasem nie chce iść do szkoły, rodzice ulegają mu bezmyślnie. Niektóre matki znów nie posyłają dzieci, bo się boją, aby go n. p. kolej nie przejechała lub starsi towarzysze nie pobili i t. d. A zacząwszy ostatecznie po ośmiu latach dzieci posyłać do szkoły, odrywają je z najrozmaitszych powodów. Smutno przedstawia się ten fakt w cyfrach, zaczerpniętych znów ze szkół w Buffalo.

W dzielnicach tego miasta, najgęściej przez Polaków zamieszkałych, liczba dzieci zatrzymanych w domu z chwilowej potrzeby, dochodzi do 734, a zatrzymywanych z niedbałości do 918, a dzieci

wałęsających się po ulicach do 1.080, czyli razem do 2.732 dzieci, które w przeciągu jednego roku nie stawiły się do szkoły, do czego były zobowiązane.

Ciemnota rodziców ma i te skutki, że rodzice nie interesują się zgoła tem, co dziecko w szkole robi, dziecko widzi pomiędzy szkołą a domem przepaść i nabiera przekonania, że ta szkoła przecież z życiem niema nic wspólnego i nie bierze pracy szkolnej na seryo.

Ponury to obraz, ale prawdziwy. Punktów jaśniejszych na nim nie brak, ale jest ich nie wiele.

Wiele dzieci polskich odznacza się wyjątkową pojętnością, wszystkie na ogół uczą się dość łatwo, celują zwykle w rysunkach, nieraz w kompozycyi, odznaczają się większą wrażliwością od przeciętnych dzieci amerykańskich lub niemieckich, słowem przedstawiają wdzięczny i wiele obiecujący materyał wychowawczy. Tem większa szkoda, że istnieją przeszkody, które nie dają im się rozwinąć dostatecznie.

Zawsze będą jednostki, które przy wyjątkowych zdolnościach, energii lub większej zamożności rodziców, zdołają się wybić ponad ogół, ale trzeba dążyć do tego, aby się właśnie cały ten ogół podniósł na wyższy szczebel oświaty.

8. Młodzież polska, nie skora do zdobywania sobie wyższej wiedzy w szkołach amerykańskich publicznych, a względnie w szkołach parafialnych polskich, szuka jej w mniejszym jeszcze procencie na wyższych stopniach szkół systemu amerykańskiego. Nie mamy dokładnej statystyki młodzieży kształcącej się w amerykańskich szkołach średnich, ale to, co o tem wiemy, jest zjawiskiem smutnem. Polonia amerykańska nie garnie się do wyższej oświaty i dla tego zamiast rządzić, musi służyć i zajmować najniższe stopnie społeczne. W Buffalo n. p. w trzech ogromnych high schools jest na 60.000 ludności polskiej co roku zaledwie po kilku Polaków, od trzech do pięciu. W New Yorku i okolicy jest grupka może do 10 Polaków, dążących wyżej.

W Chicago jest zastęp polskiej młodzieży w high schools nieco liczniejszy, dochodzi do 100.

Przy tak powszechnym braku pragnienia wyższej oświaty i nauki jest zjawiskiem całkiem zrozumiałem, że Polonia północno-amerykańska nie okazuje chęci do organizowania zakładów naukowych średnich.

Niema w Polonii północno-amerykańskiej polskich seminaryów nauczycielskich męskich.

Seminarya nauczycielskie żeńskie czyli internaty istnieją, ale tylko przy klasztorach żeńskich macierzystych i pozostawiają w przeważnej części wiele do życzenia.

Siostry Felicyanki mają internat w Detroit, Michigan, w którym w r. 1901 było 80 internatek.

Szkołę średnią polską t. z. Akademię dla dziewcząt utrzymują Siostry Nazaretanki (po ang. Holy Family Academy).

Antoni Karbowiak.

(Ciąg dalszy nastąpi).

JAWORÓW

monografia historyczna, etnograficzna i statystyczna.

(Ciąg dalszy).

Po tym odskoku, który w dalszem naprowadzaniu faktów, odnoszących się do działalności Sobieskiego, uważaliśmy za niezbędny, przystępujemy do właściwego zakresu niniejszej pracy.

Pod smutną wróżbą objął Jan Sobieski starostwo jaworowskie, bo w kilka miesięcy zaledwie po tem straszna klęska nawiedziła nie tylko Jaworów, ale cały szmat obszaru w okręgu starostwa.

Pladrujace od Lwowa bandy kozaków Chmielnickiego podpadły pod Jaworów w listopadzie r. 1648, obróciły w perzynę miasto podnoszące się po klęsce pożaru w r. 1636, wycięły w pień ludność rzymsko-katolicką, wymordowały łacińskich księży, zrabowały doszczętnie zamek, sprofanowały kościół, a co nie wybiły, zabrały w niewolę.

W tym rabunku dopomagali mieszczanie i przedmieszczanie jaworowscy greckiego obrządku, którzy złączywszy się z najezdcami, przewyższali ich w srogości.

Bardzo szczegółowy opis rabunku miasta podają nam trzy wyroki trybunału lubelskiego, ferowane w tej sprawie na winnych rozboju.

Pierwszy, wydany na skargę Wacława Rykowskiego, syna fundatora klasztoru Dominikanów i po nim dalszego dzierzawcy Jaworowa:

„In judiciis ordinariis Tribunalis Regni w Lublinie. Feria tertia in Vigilia S-ti Bartholomei, anno Domini Millesimo sexcentesimo quinquagesimo: skazuje przewódzców w rabunku, mieszczan jaworowskich: Zaharyasza Putaja, Fed'ka Letwoja, Stanisława Wołka, Andrzeja Kołpaczka, Łeska Dłubatowa szewca i Stefana Bielanika na karę śmierci, a 49 mieszczan i 139 przedmieszczan z małego przedmieścia, oraz 40 z wielkiego przedmieścia na ciężkie kary więzienia i solidarny zwrot IMC. Panu Wacławowi Rykowskiemu wyrządzonych szkód, ocenionych przez królewskiego komisarza IMC. P. Adama Kurowskiego na okrągłą sumę 20.000 złp.“

Z szczegółowego rejestru podanych przedmiotów, które zostały zrabowane, podajemy niektóre pozycye, i tak:

Miodu prząśnego 62 półbeczków, wartości 6.200 złp., masła 80 fasek, miodu warzonego 50 półbeczków, zbroi, strzelby ręcznej i pałaszy wartości 1.600 złp.

Baranów 30 sztuk, jałowic karmnych 21 sztuk, bydła rogatego 400 sztuk, kotłów gorzelnianych 18, pszczół 20 pni, karetę nową, małmazyi baryłę wartości 600 złp., mis cynowych, talerzy, dzbanów 540 sztuk i t. p.[1])

Drugi wyrok został wydany na skargę Andrzeja Łahodowskiego, starostę dobrzyckiego i właściciela Krakowca, odległego o dwie mile od Jaworowa. Oskarza on rajców, burmistrza, wójta i ławników jaworowskich, że z gromadą pospólstwa napadli w r. 1648 na Krakowiec jeszcze przed wkroczeniem Tatarów do kraju i w połączeniu z maruderami kozackimi spalili mu dwór w Krakowcu, wszystko złupili, poniszczyli wszelkie sprzęty, dostatki, ozdoby i kosztowności, zabrali 660 fur siana, wyrąbali i wywieźli z lasu 20.000 fur drzewa, zamordowali jego oficyalistę Stanisława Koca, znieśli urzędy polskie a zaprowadzili ruskie i wycięli w miasteczku księży oraz wszystkich katolików.

Trzeci wyrok odnosi się do obrabowania kościoła parafialnego w Jaworowie, który według skargi proboszcza ks. Łukasza Witwickiego napadli rabusie, złupili doszczętnie, dopuszczając się znieważenia świętej Hostyi, zrabowali naczynia kościelne i wszy-

---

[1]) Odpis wierzytelny wyroku, w prywatnym zbiorze d-ra Aleks. Czołowskiego, we Lwowie.

stkie przybory, przedstawiające jakąś wartość. — Za ten napad zostali zasądzeni mieszczanie jaworowscy: Jacek Kocan, Semko Kowal i Semko Smałła, jako przywódcy rozboju, na karę śmierci. [1])

Doszczętnemu rabunkowi uległy okoliczne wsie Kochanówka, Olszanica, Porudno, Porudenko i t. d., które wypalono do ziemi, rabując dobytek włościan, a ich samych popędzono w niewolę.

Po tym napadzie popadł Jaworów w ostatnią nędzę. Z miasta pozostały tylko zgliszcza, cały dobytek katolickiej ludności uprowadzili rabusie, a czego nie mogli zabrać, zniszczyli i wytłukli, większą część mieszkańców wymordowali, resztę wzięli w niewolę... Kamień na kamieniu nie został z kilkutysięcznej mieściny.

Zewsząd pospieszono z pomocą dotkniętemu miastu. Król Jan Kazimierz dyplomem, wydanym we Lwowie dnia 4. września 1649 r., uwolnił mieszkańców na lat 4 od wszelkich podatków i danin. [2])

Jan Sobieski, starosta jaworowski, opuścił im wszelkie daniny i obowiązki w stosunku do dworu, zezwolił na wrąb w lasach starościńskich, zwolnił z powinności świadczeń w robociznie i zasilił ziarnem z zamkowych szpichlerzy.

Wszystkie te ulgi i dobrodziejstwa nie prędko jednak byłyby dźwignęły miasto z ruiny, gdyby nie zdarzenie szczęśliwe dla przyszłości Jaworowa, że Sobieski upodobał sobie to miejsce i postanowił dzielić swój pobyt między Żółkwią i Jaworowem.

Na zamkowem obejściu zawrzała robota w całej pełni. Setki rzemieślników pracowało nad przyprowadzeniem do należytego stanu zabudowań, wzniesiono piętro nad głównym domem mieszkalnym, przywożono przez długie miesiące kosztowne meble, obicia, makaty, obrazy i t. p. z Żółkwi, wzmocniono obwarowania i własną armaturą Sobieskiego uzbrojono zamek.

Kilka lat trwały te przygotowania, zanim Sobieski zjechał po pierwszy raz na dłuższy pobyt do Jaworowa, razem z żoną i licznym dworem.

Od tego czasu zaznacza się właściwy wzrost miasta, które mimo ponownego napadu w r. 1655 kozaków z samym Chmielnickim na czele, goniącym z pod Lwowa za w. hetm. koronnym, Stanisławem Potockim, bokami nadszarpnął i powiat jaworowski —

---

[1]) „Żereła do istorii Rusy i Ukrainy", T. 4, str. 128 (list Samuela Konaszewicza).

[2]) Akta grodz. lwow. T. 399, str. 979.

prędko poczęło się odbudowywać z zachowaniem już pewnych form symetryi ulic i placów.

Z częściowem przeniesieniem się Sobieskiego na stały pobyt do Jaworowa, w miarę jak Sobieski wzrasta w znaczenie, poczynają tam napływać dostojni panowie polscy, bądź to w odwiedziny do wielkiego hetmana, lub w sprawach dotyczących wypadków krajowych. Zjawiają się przeróżni wysłańcy postronnych mocarstw w celu paktowania z Sobieskim jako wielkim marszałkiem koronnym, posłowie tatarscy, wołoscy, kozaccy, emisaryusze króla francuskiego i t. p.

Dwór pański w Jaworowie słynie z gościnności, a sława ta rozbrzmiewa jak kraj długi i szeroki. Na jaworowskim zamku zapadają najważniejsze postanowienia wojenne, tu układają się pakta z sąsiadami od Południa i Północy, w Jaworowie rozgrywa się właściwa kampania przedelekcyjna po abdykacyi Jana Kazimierza i są chwile, gdzie właściwe środowisko rządu całego państwa koncentruje się w tej, do niedawna nieznanej mieścinie.

W roku 1658 przybył do Jaworowa wysłannik Ludwika XIV., opat Paulmiers, dla nawiązania z Sobieskim stosunków, dążących do zdetronizowania Jana Kazimierza i osadzenia na polskim tronie księcia Kondeusza.

Marya Kazimiera, żona Sobieskiego, oddana całą duszą Francyi, popierała usilnie zabiegi opata i starała się wszelkimi sposobami pozyskać dla tej roboty męża, ale w tym jednym może tylko wypadku oparł się Sobieski pięknej kusicielce i wręcz odmówił swego współudziału. Sześć tygodni zabiegał emisaryusz francuski ze wszystkich stron, żeby pozyskać Sobieskiego, musiał jednak odjechać, nie dopiąwszy zamierzonego celu.

Po za sprawami urzędowemi poświęcał Sobieski cały wolny czas na przyozdobienie swej siedziby w Jaworowie. Pozakładał wspaniałe ogrody, własną ręką zasadził długą aleę lipową, pobudował łazienki: na wyspie stawu, przyległego do zamku, wzniósł letni pałacyk z wieżyczką, urządził wspaniale komnaty mieszkalne opatrzył zamek stałą załogą, zorganizował nadworną kapelę i pozaprowadzał wszystko, co mogło przyczynić się do wygody i uprzyjemnienia pobytu. Lustracya dokonana z r. 1661, a więc w kilka lat zaledwie po osiedleniu się Sobieskiego w Jaworowie tak opisuje stan zamku:

Z a m e k nad stawem, otoczony wałem, odarniowany czosnkami i drzewem ocembrowany.

Budynek drewniany wyborny, pobity gontami o 4 izbach z gdańskiemi oknami, drzwi stolarskiej roboty, złocistemi sztukami sadzone. Posadzka w jednej izbie marmurowa, w drugiej gdańska, polerowana — izba stołowa — to na dole.

Na górze w budynku sala, w której 8 okien, na rogu skarbiec murowany.

Łaźnia na sadzawce, kuchnia na stawie, gdzie mieszkanie dla kuchmistrza i dla dwóch sadzów dla ryb.

Ogród włoski fundują dopiero de novo.

Do zamku jest brama na przegródku, na której izba mała z komnatą, a na rogu baszta.

Armatura zamku własna JMC. Pana starosty, a nie należąca do starostwa.

Dział spiżowych 4, żelaznych 2, śmigownic spiżowych 4, żelaznych 4, hakownic z zamkami 4 i organki. [1])

W tym czasie wspomina o samem mieście i o jaworowskim zamku Verdun, sekretarz opata de Paulmiers:

„Na północno wschodniej stronie miasta leży zamek częścią z kamienia, częścią z drzewa. Miasto posiada 2 rzymsko-kat. kościoły, jeden z kamienia (OO. Dominikanów), drugi z drzewa (parafialny) Całe otoczone wałami z ziemi, na nich wysokie ściany z belków i parapety. Są tam 2 cerkwie i synagoga.“

Synagogę, o której wspomina Verdun, fundował Sobieski. Była ona zbudowaną z drzewa, jednak w pewnym stylu i przedstawiała się wspaniale.

Świadkiem ciekawego, a jednak doniosłego znaczenia zajścia był Jaworów w r. 1663.

Wojska nie płacone przez dłuższy czas, utworzyły konfederacyę z kasztelanem Janem Świderskim na czele, stanęły obozem w Kochanówce pod Jaworowem i żądały wypłaty zaległego żołdu w kwocie siedmiu milionów złp., grożąc rewoltą. Podeszli pod Gródek w szyku bojowym, gdzie naprzeciw nich podążał król Jan Kazimierz z pozostałą w wierności resztą wojska.

Dnia 29. maja natknęły na siebie obydwie armie i król wydał rozkaz dowodzącemu królewskiem wojskiem w. hetm. Sobieskiemu natarcia na buntowników.

Wdanie się jednak księcia Prymasa i wstawiennictwo Sobieskiego zapobiegły krwawemu starciu, poczem skonfederowani po-

---

[1]) Baliński, „Ojczyste spominki“-

ciągnęli napowrót pod Jaworów, dokąd podążył za nimi Jan Kazimierz.

Równo ze świtem 2. czerwca 1663 r. witał Jaworów wystrzałami armatnimi przybycie do miasta króla Jegomości z Jejmość królową, Ludwiką Maryą.

Stanęła ugoda między królem i skonfederowanymi w dniu 3. czerwca, podpisana w miejskim ratuszu. poczem królestwo bawili w gościnie u Sobieskich 10 dni. t. j. do czasu wypłaty połowy zaległego żołdu skonfederowanym.

Po wypłacie oddał Świderski wszystkie akta konfederacyi królewskim komisarzom. a miejscowy pleban spalił je w obecności króla w kościele, nad świecą, zdjętą z ołtarza.

Nastąpiły przeprosiny króla przez delegatów z ramienia wojska. które odbyły się z całą pompą i nader wystawnie.

Szczegóły tych ceremonii opisał dokładnie Rousseau de la Valetté.

Szlachta i senatorowie zjechali się bardzo licznie na ten akt ugody. nie licząc kilku książąt kościoła i świty królewskiej. Zdarzyło się to po raz pierwszy. że Jaworów gościł w swych murach tylu dostojników naraz.

Po za dygnitarzami koronnymi przybyło kilkuset oficerów. obozującego pod Bruchnalem wojska i mnóstwo żołnierzy snuło się przez cały tydzień po ulicach grodu.

W zawartej ugodzie pośredniczyli ze strony króla: ks. Wacław hr. na Leśnicy. biskup leśnicki — Prymas hr. na Tarnowie i Jarosławiu — z świeckich dygnitarzy wojewodowie: zamoścki. sandomirski i lubelski. dalej kasztelan wojnicki. wielki hetman i marszałek koronny Jerzy Lubomirski. skarbnik koronny Władysław Nagłowicz. starosta nowomiejski Libuski oraz Szczepan Sarnowski i Stanisław Rzemieski, jako zastępcy lwowskiego obwodu.

Za wojsko podpisali traktat ugodowy:

Jan Samuel Świderski, kasztelan. imieniem koła rycerskiego. a imieniem wojskowości:

Stanisław Jordan, Andrzej Chojnacki. Jan Rambiewski. Krzysztof Dziewalski, porucznicy — Antoni Kruszyński, Stanisław Godowski, Zbigniew Błyskowski. Albert Kołysenko, Jan Czaykowski. Adam Polanowski. Aleksander Arodowski, Franciszek Pruszkowski. Stanisław Trzemeski, Franciszek Czapski, pułkownik Jordan, płatnik Gralewski, Mikołaj Chłopicki. Kazimierz Pruchnicki. Jan Chrząstowski, Stanisław Zabielski i Aleksander Mikrowski.

Sobieski przebywał na przemianę w Żółkwi i w Jaworowie, od czasu jednak przyprowadzenia zamku do należytego porządku częściej przesiadywał w Jaworowie, dokąd zjeżdżał zawsze z przyboczną kancelaryą i z najbliższem otoczeniem swoich poufnych.

Z Jaworowa wyruszył w r 1667 na wyprawę Podhajecką, na którą poczynił zaciągi wojska z własnych funduszów, gdy Sejm zwłóczył z uchwaleniem potrzebnych kwot, tam wrócił z wyprawy i tam zawarł z wysłannikami hana traktaty, zabezpieczające Polskę na dłuższy czas od najazdów tatarskich.

Pogrom podhajecki przyniósł jeszcze tę korzyść dla Polski, że Doroszeńko, który się był złączył z Tatarami i wspólnie z nimi napadał południowe prowincye polskie, zerwał zawarty z nimi sojusz i poddał się królowi Janowi Kazimierzowi.

Sobieski otrzymał w nagrodę zwycięztwa wielką buławę i został wielkim hetmanem koronnym.

Pani hetmanowa Sobieska bawiła w tym czasie w Paryżu, dokąd pod pozorem leczenia się wyjechała z Jaworowa jeszcze w czerwcu 1667.

Sobieski utrzymuje stałą, prawie codzienną korespondencyę z żoną i w długich listach powiadamia ją o wszystkiem, co dotyczy jego osoby.

Marysieńka powiła w Paryżu pierwszego syna, któremu nadano imię Jakóba, a do chrztu trzymali go: król Ludwik XIV. i królowa wdowa angielska po Karolu I. przez delegacyę.

W liście, pisanym do żony z Jaworowa dnia 18. maja 1668 roku, zawiadomił ją Sobieski, że nowonarodzonemu nadaje tytuł starosty jaworowskiego, „bo sam długo ten tytuł nosił i miał z nim dobre szczęście do ludzi“.

Podczas swego pobytu w Paryżu zacieśniła Marysieńka węzły łączące ją z dawną ojczyzną i podjęła w myśl życzenia Ludwika XIV. poddany jej projekt detronizacyi Jana Kazimierza i osadzenia na tronie Kondeusza.

Powróciła do Jaworowa w towarzystwie francuskiego opata de Courtois, który przywiózł własnoręczny list ks. Kondeusza, pisany do Sobieskiego w tej sprawie.

Sobieski odmówił swego współudziału w tej intrydze i mimo odmiennych podań niektórych pisarzy z owej epoki, stał od niej zdala.

Czego nie dokonały intrygi Marysieńki, spełniło się samo z siebie.

Jan Kazimierz skołatany tym niepowodzeniami, które spadły na kraj w czasie jego panowania, popadł w stan przygnębienia, a gdy na domiar nieszczęścia umarła mu żona Marya Ludwika, powziął niezłomne postanowienie złożenia korony, co też uczynił w dniu 16. września 1668 r., przenosząc się na stały pobyt do Nevers we Francyi.

Do wolnego tronu zgłosiło się dziewięciu książąt zagranicznych, z których największe szanse miał książę Kondeusz, zalecany przez Francyę a popierany przez prymasa Prażmowskiego, licznych senatorów i silną partyę, na której czele stanęła żona Sobieskiego, Marya Kazimiera.

Zabiegi pięknej Marysieńki około zjednania Sobieskiego na rzecz Kondeusza zostały po długich pertraktacyach uwieńczone pomyślnym wynikiem i wybór tego francuskiego księcia zdawał się zapewniony.

Lecz w ostatniej chwili, już podczas samej elekcyi padły w najgorętszej agitacyi za Kondeuszem słowa jednego z senatorów: „Niech żyje Piast!“ Hasło tak rzucone podjęto skwapliwie, coraz gęstsze głosy zaczęły oświadczać się za Piastem, ktoś inny dorzucił „Wiwat Piast, król Michał Wisniowiecki!“ i wbrew wszelkim oczekiwaniom, wyszedł z wyboru Michał Korybut Wisniowiecki, ukoronowany w dniu św. Michała r. 1669 królem polskim.

Zawiedzione w nadziejach stronnictwo Kondeusza, nie wyłączając Sobieskiego, na którego oddziaływała z całą zawziętością nadobna Marysieńka, zajęło wrogie stanowisko względem, ich zdaniem, narzuconego sobie króla i z miejsca powzięto zamiar unieważnienia wyboru, a gdy to nie dało się przeprowadzić, rozpoczęto agitacyę za zdetronizowaniem słabego i osamotnionego Michała, a posadzeniem na tronie Kondeusza.

Z tak nadarzonej sposobności nie omieszkał korzystać Ludwik XIV. i wysłał do Jaworowa osobnego emisaryusza, aby w połączeniu z Marya Kazimiera podjął akcyę w tym kierunku.

Zjawił się rzeczywiście ten wysłannik w osobie markiza de Bonzy i zakwaterował się na zamku jaworowskim, zkąd rozpuszczał razem z Marysieńką pajęcze nici po całym kraju. Marya Kazimiera namawiała Sobieskiego wtenczas, żeby zdetronizował króla Michała i sam sięgnął po koronę, lecz on oparł się temu [1])

---

[1]) Helcel, str. 227.

Przyjeżdżali i wyjeżdżali z Jaworowa różni dygnitarze i senatorowie, związani aktem sprzysiężenia, a najczęściej bywał tam podskarbi koronny Tyzenhaus i Feliks Potocki, syn byłego w. hetmana. Pozyskano część wojska dla sprawy i knuto w cichości dalsze plany.

Robota jednak nie szła składnie, bo ciągłe utarczki z napadającemi hordami Tatarów i kozaków wytężały całą działalność senatu i poszczególnych senatorów w jedynym kierunku, którym było zabezpieczenie ojczyzny od upadku. Sobieski, o ile nie bawił w obozie, przesiadywał w Jaworowie, tam ciężko zachorował w styczniu 1671 i kilka tygodni przeleżał w łóżku, skarżąc się na: gorączkę, chrosty po ciele, dymy do głowy i t. p.[1])

U łoża chorego w. hetmana stanął w Jaworowie wysłannik wielu pułków kozackich, setnik Taraszowski, aby imieniem tych pułków, oburzonych na Doroszeńkę, że w Czehrynie poddał całą kozaczyznę sułtanowi, ofiarować ich przysięgę na wierność królowi polskiemu.

W lipcu 1671 r. na wieść, że Doroszenko z Tatarami ruszył trzema szlakami na Pokucie, Wołyń i Lwów, rozpisywał Sobieski z zamku jaworowskiego przez cały tydzień dniem i nocą uniwersały do wojsk, rozsyłał ordynanse do wodzów, a 18. lipca wyjechał z Jaworowa do obozu.

W rok później przyjmował Sobieski w Jaworowie osobnego wysłannika od hana Selima, niejakiego Abdermana, który przybył tam celem omówienia szczegółowych warunków nawiązanego traktatu i wyznaczenia wielkich posłów dla ostatecznego zawarcia wieczystego, pokoju. Posła tego przekazał Sobieski wprost do króla w Warszawie, nie chcąc brać na siebie całej odpowiedzialności za ewentualne następstwa przymierza.

Napięty stosunek wielkiego hetmana w odniesieniu się do króla Michała w niczem się nie polepszył, przeciwnie, z biegiem czasu zaostrzył się znacznie i doprowadził do zupełnego zerwania, z wyjątkiem spraw dotyczących ściśle urzędowego charakteru Sobieskiego, jako wielkiego hetmana i marszałka.

Myśl detronizacyi króla Michała zaczęła się coraz bardziej upowszechniać, a Sobieski wspólnie z Prażmowskim, prymasem, wzywali Ludwika XIV., żeby wysłał do Polski Kondeusza w 25.000

---

[1]) Listy Sobieskiego.

wojska, a on będzie go oczekiwać w Prusach w 8.000 Polaków i ogłosi królem, pozbawiając tronu Michała.[1])

W czasie tej rozterki między królem a pierwszym dygnitarzem państwa, spadły ciężkie klęski na kraj.

Mahomet IV. zdobył Kamieniec, Buczacz, Jazłowiec i Złoczów, a dzikie hordy Turków i Tatarów rozsypały się po całem Podolu, plądrując, paląc i rabując co im tylko wpadło pod rękę.

EDWARD WEBERSFELD.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[1]) Korzon. „Dola i Niedola Sobieskiego" T. III. str. 197.

LISTY PARYSKIE.

II.

Podręczniki bibliograficzne. — Léo Claretie i jego historya literatury. — Muzy francuskie. — Barbey d'Aurevilly i Maurice de Guérin. — Georges Grappe o Sainte-Beuve'ie i romantykach. — Baśń fantastyczna u romantyków. — Pisarze francuscy w Rzymie. — Memento.

Żywo dotychczas dawał się odczuwać brak dokładnego podręcznika bibliografii historyi piśmiennictwa francuskiego. Zawierał wprawdzie wskazówki liczne podręcznik literatury Gustawa Lanson'a,[1]) — jeżeli chodzi o stronę informacyjną, najlepszy, jaki dotychczas istnieje, — ale oczywiście mógł podać tylko rzeczy najważniejsze: autorowie ośmiotomowej *Histoire de la langue et de la littérature française* Petit de Julleville'a[2]) w dziale bibliograficznym również nie wszystko, co zasługuje na uwagę, mogli uwzględnić; Brunetière w swym znakomitym *Manuel de l'histoire de la littérature française* podaje znowu jedynie te wskazówki, które mu posłużyły do zbudowania swej teoryi ewolucyi: *Manuel du Bibliothécaire et du Libraire* Brunet'a, przeznaczony dla fachowców, bibliotekarzy i bibliografów, nie jest dostępny dla każdego; słowem, odnalezienie czy sprawdzenie jakiejś daty biblio-

[1]) Gustave Lanson: Histoire de la littérature française, Paris, Hachette, 1906 (ost. wyd.), 5 fr.

[2]) Paris, Colin. 1896—1900, 8 t., 120 fr.

graficznej, przedstawiało dużo trudności i wymagało wielu poszukiwań.

Postawił sobie za zadanie temu zaradzić p. Lanson, który od lat wielu na wydziale literackim w Sorbonie, a także w Wyższej Szkole Normalnej, bibliografię literatury francuskiej wykłada: rozpoczął wydawnictwo p. t. *Manuel Bibliographique de la littérature française moderne* (1500—1900), której zeszyt pierwszy: *Seizième siècle,* [1]) świeżo opuścił prasę: trzy inne zeszyty zawierać będą wieki: XVII., XVIII. i XIX.

„Wiele istnieje podręczników literatury, — pisze p. Lanson w przedmowie — ale znajdują się w nich oceny autorów raczej, niż wskazania co do tego, gdzie należy szukać tekstów i dokumentów, na podstawie których buduje się historya piśmiennictwa... W pracach najbardziej „objektywnych“ podawane są rezultaty badań, ale nie łatwo jest wykryć, jak autor doszedł do tych rezultatów. Nasze źródła pomocnicze dla prac literackich bardzo są niekompletne“. Przyczynić się do ich skompletowania oto zadanie świeżo ogłoszonego podręcznika, zadanie, które p. Lanson osiągnął w zupełności.

Prac bibliograficznych nie można oceniać bezwzględnie, t. j. nie można od nich żądać ścisłości matematycznej, szczególniej jeżeli nie są przeznaczone dla fachowców bibliografów: mimo to konieczna jest jednak pewna dokładność, a nadewszystko dokładność w tytułach i datach. Nie mogłem oczywiście sprawdzić wszystkiego; w tych jednak poszukiwaniach, jakie w nowej książce p. Lansona robiłem, nie zdołałem odnaleźć ani jednego błędu. Miałbym jednak do zarzucenia autorowi, że z uszczerbkiem dla wartości swej książki, pominął wskazówki co do wydawców, u których dzieło dane zostało ogłoszone: utrudnia to w wielu wypadkach skonstatowanie tożsamości książki, a także odnalezienie jej w bibliotekach czy księgarniach. Z tem zastrzeżeniem uważam *Manuel* za doskonały i niezbędny dla każdego, kto nowoczesną literaturą francuską się zajmuje.

Podobny podręcznik bibliograficzny, dla wieku dziewiętnastego, ogłosił niedawno amerykanin, p. Hugo P. Thieme: [2]) podaje on tylko ważniejszych autorów (ułożony jest chronologicznie)

---

[1]) Paris, Hachette, 1909, 5 fr.

[2]) Guide bibliographique de la littérature française de 1800 à 1906, Paris, Walter, 1907, 25 fr.

i niezawodnie oddać może bardzo wielkie usługi: nie radziłbym jednak ufać mu bezwzględnie, gdyż wiele bardzo błędów zawiera, szczególnie w datach i we wskazówkach odnoszących się do adresów bibliograficznych.

Wracając do *Manuel'a* Lanson'a, zeszyt pierwszy, oprócz wieku szesnastego, zawiera dział p. t. *Généralités*, który podaje bibliografię metod stosowanych w krytyce i w historyi literackiej, bibliografię katalogów i repertuarów rękopisów, wreszcie bibliografię retrospektywną (bibliografię bibliografii, encyklopedyi, katalogów, towarzystw uczonych, zbiorów i t. d.).

* * *

Skoro mówię o podręcznikach dla poznania literatury francuskiej, wzmiankować muszę świeżo wydany tom IV. i ostatni *Histoire de la littérature française* [1]) p. Léo Claretie, bratanka Jules Claretie, członka Akademii francuskiej.

Specyalnością p. Léo Claretie jest wygłaszanie odczytów; w tej działalności odczytowej uzyskał nazwisko: ten charakter, że tak powiem, „odczytowy“, posiada jego podręcznik, który zawiera wiele bardzo ciekawych ocen i szczegółów z życia omawianych autorów. Dla poznania literatury francuskiej nie może on być podstawą, ale dopełnieniem tylko. P. Claretie, redagując swą *Histoire*, dwa miał na oku zadania: zadanie krytyka i zadanie historyka. „Krytyk — powiada — sądzi i tłumaczy. Przetwarza wrażenia, jakie odbiera przez czytanie utworów literackich i dzieli się z czytelnikiem tem, czem stał się utwór, przeszedłszy przez jego umysł; jakie wrażenie wywarł na osobistości krytyka i na jego upodobaniach. Rola historyka literatury jest inna: ma on się kształcić, rozpowszechniać to, co jest małoznane z życia, z obyczajów, z charakteru pisarzów, z warunków zewnętrznych, które wpłynęły na talent pisarza, z mody, jaka podsunęła autorowi ten a nie inny temat, z warunków, które stworzyły powodzenie wśród współczesnych, słowem, ze wszystkiego, co może uzewnętrznić osobistość omawianego pisarza.“

---

[1]) Léo Claretie: Histoire de la littérature française (900—1900). Tome quatrième: le dixneuvième siècle, Paris Ollendorff, 1909. 7·50 fr. Całość stanowi 4 tomy po 7·50 fr.

Tej metody trzymając się, w trzech pierwszych tomach omówił p. Claretie literaturę XVI., XVII. i XVIII. wieku: czwarty poświęcony jest wiekowi dziewiętnastemu: rozpoczyna się od ogólnego rzutu oka na zmiany, jakie zaszły we Francyi po Wielkiej Rewolucyi: były to zmiany polityczne i społeczne, — powiada p. Claretie — a nie literackie: „do roku 1815. we względzie literackim jesteśmy w wieku XVIII.“ Te zmiany polityczne wpłynęły na chwilowy upadek czystej literatury, ożywiły publicystykę, a nadewszystko oratorstwo. „Mowy zastąpiły pióra. Chwile tragiczne przeżywano na placach publicznych, na polu walki, w więzieniach, a nie w gabinetach, przy pracy pisarskiej.“ Później znowu, kiedy zapanował względny spokój, brakło swobody do wypowiadania się; piśmiennictwo dbało o formę, myśli się obawiało, ale kiedy niema myśli, to i forma musi się wydać chwiejna...

„Właściwy wiek XIX. zaczyna dopiero Chateaubriand, jedyny godny pisarz do otwarcia odrzwi tego wspaniałego pałacu“. I cytuje p. Claretie zdanie Emile'a Ollivier'a, który niemal cały ten wiek przeżył: „Nasz wiek miał piękne dni, podczas których dobrze było żyć, a zważywszy wszystko, można twierdzić, że w tym wieku człowiek, nie powiem, iż był najszczęśliwszy — kiedyż jest nim zupełnie? — ale z pewnością najmniej nieszczęśliwym. To co wiek ten przyniósł, bez względu na punkta widzenia, z jakiego obserwować, jest wielkie i wspaniałe“.

Oddzielne rozdziały poświęca p. Claretie: Chateaubriand'owi, Lamartine'owi, de Vigny'emu, Victor'owi Hugo, Musset'owi i Gautier'owi; później traktuje przedmiot rzeczowo i mówi o poetach, o powieści, o teatrze, o historyi, o prasie, o naukach ścisłych i publicystyce, wreszcie o literaturze francuskiej po za granicami Francyi politycznej.

Nie mogąc wchodzić w szczegóły, zadowolę się podaniem tego, co mówi p. Claretie o szkołach i kierunkach. Romantyzm, mimo krzywd, jakie wyrządził umysłowości francuskiej, „wyswobodził, odmłodził, uczynił bardziej giętką poezyę, wykąpał ją w źródłach czystego liryzmu, dał jej szczerość, różnolitość, koloryt, swobodę, wolność, dał duszy głos i skrzydła, poruszył i wyswobodził namiętności i nienawiści: usprawiedliwił życie“.

Pisząc o realizmie, mówi: „Dzięki jakim upodobaniom dziwnym i chorobliwym, nasi pisarze myśleli, że czynią dobrze, obserwując, oceniając i opisując to, co jest brzydkie, nizkie, środowiska zatrute, plugawe, popularne? Wistocie wyraz realizm jest synonimem brutalności, nieprzyzwoitości, plugawstwa. Balzac,

Flaubert, a nadewszystko Zola, popchnęli piśmiennictwo francuskie na tę drogę, a zostali na niej zdystansowani przez swych uczniów. Już w końcu XIX. wieku realizm został uznany za szkodliwy".

Co do symbolizmu, uważa p. Claretie, że „oceniano go zbyt surowo: jego pojawienie się było powrotem do idei w utworach pisarskich. Pozytywizm uważał, że wszystko tłumaczy, że wszystko zdolny jest sprawdzić. Należało mu przypomnieć, że nawet mimo postępu nauki, istnieją tajemnice i istnieć zawsze będą. Erudycya, krytycyzm, obserwacya nie są wystarczające dla poezyi, której panowanie nie jest z tego świata, ponieważ wyraża ona to, co się nie da ściśle określić, co jest po za granicami obserwacyi naukowej. Symbolizm był wywołany wstrętem dla naturalizmu".

Wogóle należy przyznać panu Claretie, że w swojej historyi literatury wydaje sądy objektywne i raczej tłumaczy i komentuje, niż gani i chwali. Z tego względu książka jego posiada wartość bezstronnego przyczynku do historyi rozwoju myśli francuskiej w XIX. wieku. Zaznaczam, że nie może być traktowana jako podręcznik, lecz jako książka do czytania, jako zbiór sądów kompetentnego autora o ludziach i dziełach tych ludzi w jednym z najbardziej ciekawych okresów piśmiennictwa francuskiego, którego wpływy nie ograniczyły się na Francyi samej, ale także odbiły się echem głośnem na ruchu umysłowym całej Europy.

* * *

Szczęśliwą myśl miał p. Alphonse Séché, układając antologię poetek francuskich.[1]) Wogóle pisarki francuskie, panią George Sand wziąwszy za nawias, nie mogą znaleźć się na liście wielkich pisarzy, co bynajmniej nie znaczy, aby między niemi nie było pisarzy dobrych, a szczególniej poetek. „Nie mają one żadnego programu specyalnego, — mówi p. Claretie w omawianej co tylko literaturze, — ale zalecają się swem sercem". I dlatego właśnie, że „zalecają się sercem", w poezyi, o ile są szczere, mogą łacniej dojść do czegoś niżeli w prozie, gdzie obok formy i uczucia, myśl odgrywa rolę dominującą...

---

[1]) Alphonse Séché: Les muses françaises, anthologie des femmes-poètes T. I. (1200—1891) T. II. XX. siècle. Paris, Louis-Michaud, 1908—9, 2 t. 7 fr.

„Wiek XX. — pisze p. Séché — będzie wiekiem kobiety, tak jak wiek XIX. był wiekiem pary“. Kobieta, szukając zarobku, zabierze się do pracy literackiej, w pierwszym rzędzie do pracy poetyckiej. „A jeżeli jest prawdą to, co mówiono, że stan poetycki (stan psychiczny) jest stanem kobiecym, czyż nie jest naturalnem, że kobieta zajmować się będzie poezyą, że nie będzie ją to kosztowało wielu wysiłków... Poeta z urodzenia, kobieta pisać będzie poezye... wystarczy do tego, aby kochała, aby cierpiała, aby żyła“. Otóż w chwili obecnej, przełomowej w tym względzie, należy zestawić to, co kobiety na polu poetyckim zrobiły dotychczas, należy ułożyć bilans, zanim nastąpi rozwód ostateczny...

Bilans ten układa p. Alphonse Séché w dwóch tomach antologii: pierwszy zawiera poetki od XIII. wieku począwszy do końca XIX., od Marie de France i Agnieszki Nawarskiej do Pani Ackerman i Ondine Valmore; drugi poświęcony wiekowi XX., rozpoczyna Emilia Arnal, a kończy Helena de Zuylen.

Każdej autorki daje p. Séché życiorys, opatrzony portretem, bibliografię i wybór kilku poezyi; mamy więc sposobność poznania muz francuskich dokładnie i skonstatowania raz jeszcze tego samego, co za p. Bertaut mówiliśmy w Liście poprzednim: Oryginalności mało, forma niekiedy poprawna, temat zawsze ten sam: miłość, jej rozkosze i zawody. Przeglądając listę poetek francuskich, jedna rzecz uderza: znaczny bardzo procent cudzoziemek, albo pochodzących z rodzin cudzoziemskich: hr. de Noailles — Rumunka, Renée Vivien — Amerykanka, Marya Krysińska — Polka, hr. Kapnist — Rossyanka i t. d. Przypuszczam, że nie wiele mijając się z prawdą, można twierdzić, że ruch emancypacyjny kobiet francuskich w tym względzie pochodzenia jest cudzoziemskiego: cudzoziemki wskazały drogę (tak samo zresztą, jak i w studyach uniwersyteckich), a za niemi dopiero poszły Francuzki.

Mimo niezbyt oryginalnej jeszcze do dzisiaj pracy poetyckiej kobiet, nie można ich działalności traktować jako *une quantité négligeable*, waży ona na szali, a ważyć będzie coraz więcej; historyk literatury musi o tem pamiętać; zawcześnie jeszcze stawiać horoskopy na przyszłość: trzeba czekać, a tymczasem „robić bilanse“, tak, jak to uczynił p. Séché, oddając poważną usługę sprawie.

*

* *

W roku zeszłym obchodzono we Francyi stuletnią rocznicę urodzin Barbey d'Aurevilly. Z tej okazyi przedrukowano niektóre jego pisma,[1] a także ogłoszono cały szereg studyów o jego działalności pisarskiej: Paul Bourget,[2] jeden z tegorocznych odczytów w *Societé des conférences* poświęcił temu oryginalnemu myślicielowi. Jest to postać w literaturze francuskiej bodaj jedyna, zajmuje miejsce tak różne od innych, że nie da się zestawić z nikim... Znienawidzony od współczesnych, potępiony i skazany na zapomnienie, dopiero pod koniec zeszłego wieku zaczyna być uznawany, dopiero w ostatnich latach zeszłego stulecia zajęto się nim poważnie... Przed paru miesiącami p. Fernand Clerget ogłosił wyczerpującą monografię o Barbey d'Aurevilly,[3] która dzisiaj przynajmniej, stanowi najlepszą syntezę działalności pisarskiej autora *Les Diaboliques*.

A działalność tę, bardzo różnolitą, nader skomplikowaną, pełną sprzeczności, charakteryzuje indywidualizm krańcowy. Jest to niezawodnie w znacznym stopniu wynikiem pochodzenia Barbey d'Aurevilly; urodzony w Normandyi, ma cechy rasy, do której należy: bezwzględność, uznawanie autorytetów i tradycyi tych tylko, do jakich przywykł. Pochodzeniem również tłumaczyć sobie należy jego religijność i przywiązanie do monarchii, dwa czynniki przewodnie w jego działalności, od których na krótko tylko, w latach młodzieńczych, odbiegł. Po ukończeniu mianowicie studyów prawniczych w Caen, wraz z przyjacielem swoim, Trébutien'em zakłada pismo *La Revue de Caen* i głosi w niem zasady krańcowo republikańskie. Trwa to jednak niedługo: Czasopisma wyszło dwa numery Barbey przyjeżdża do Paryża, staje się arystokratą, zrywa z przeszłością. Zaczyna pisać w dziennikach, wydawać książki, pisze z jednej strony powieści, z drugiej studya krytyczne: w jednych i w drugich przebija namiętność: Barbey d'Aurevilly nie może być objektywnym: uważa, że pisarz ma do spełnienia misyę: dla niego tą misyą jest propaganda na rzecz religii i na rzecz monarchii, a więc walka z tem wszystkiem, co dwie te instytucyę demoralizuje i rozkłada...

---

1) Barbey d'Aurevilly: La théâtre contemporain. Paris, Stock, 3 vol. 1908—9, 10·50 fr.

2) La revue hebdomadaire Nr. 15, 10, avril 1909.

3) Fernand Clerget: Barbey d'Aurevilly de sa naissance à 1909, Paris, Falque, 1909, 3·50 fr.

P. Clerget w swej książce, niemal z roku na rok, opowiada życie Barbey d'Aurevilly, analizuje jego prace, tłumaczy i komentuje; słowem, daje czytelnikowi klucz do zrozumienia tego dzieła, którego wpływy dopiero teraz zaczynają się przejawiać, a które z czasem unieśmiertelnią nazwisko Barbey d'Aurevilly.

* * *

Z autorem *Les Diaboliques* ściśle jest związane nazwisko innego pisarza katolickiego, Maurice'a de Guérin. Dla Guérin'a pisał Barbey swe *Memoranda;* był to jeden z najlepszych i najserdeczniejszych jego przyjaciół, a kiedy umarł, Barbey długo zapomnieć go nie może.

Guérin napisał niewiele: przynajmniej dotychczas niewiele jego prac zostało opublikowanych. Puścizną po nim literacką zajmuje się p. A. Lefranc i obiecuje wkrótce jej ogłoszenie. Zanim to jednak nastąpi, pragnę zwrócić uwagę czytelnika na wybór pism Guérin'a, wydany świeżo przez p. Remy de Gourmont.[1])

Ten wybór zawiera: *Le Centaure,* który jak zaznacza p. Gourmont, „należy zaliczyć do najpiękniejszych i najcenniejszych utworów w literaturze francuskiej": fragment z *La Bachhante* i z *Glaucus* parę poematów, dziennik i wyjątki z korespondencyi.

Poprzestanę zresztą na tej notatce, gdyż mam zamiar powrócić do omówienia obszerniej działalności Guérin'a po ukazaniu się jego prac nieznanych. Zanotuję tylko ustęp w jednym z jego listów (datowany z La Chenaie d. 15. maja 1833 r. a pisany do p. de Bague, au Chateau de Rayssac, par Vabre [Tarn]), odnoszący się do oceny *Ksiąg Pielgrzymstwa* Adama Mickiewicza; oto co o nich mówi: „Montalembert ogłosił przekład *Ksiąg narodu polskiego i pielgrzymstwa Polskiego od początku świata aż do jego męczeństwa,* przez Adama Mickiewicza, poetę polskiego, największego poetę współczesnego, mówi p. Feli (de Lamennais). Jest to książka zachwycająca; w stylu ma ona w sobie coś z proro-

---

[1]) Maurice de Guérin: Collection des plus belles pages, avec un portrait et une notice de Remy de Gourmont, Paris, Mercure de France, 1909, 3 fr.

ków i z Ewangelii. Nigdym nie widział bardziej przejmującej poezyi. Sądzę, że wszyscy przyjaciele czasopisma *L'Avenir* będą łaknęli tej książki."

* * *

„W ogrodzie Sainte Beuve'a"[1] — tak zatytułował swój ostatni zbiór szkiców literackich p. Georges Grappe, młody a zapowiadający świetną przyszłość pisarz. Nie jest to pierwsza jego praca: od kilku lat pisuje w czasopismach literackich, a ogłosił dotychczas monografie: o Newmann'ie i o Stevensonie, dwie książki o literaturze angielskiej: *Les Pierres d'Oxford* i *La poésie anglaise au XIX. siècle,* wreszcie, we wspaniałym pod względem technicznym wydawnictwie, *L'art et le beau*, — tekst do zeszytu o Degos'ie.

Dans le jardin de Sainte Beuve — jeżeli mnie pamięć nie myli, — składa się z umieszczonych dawniej, przy rozmaitych okazyach, w czasopismach studyów o Wiktorze Hugo, Aleksandrze Dumas, o George Sand, Quinet'cie, Balzac'u, Merimée i Sainte Beuve'ie, oraz ze wstępu, niedrukowanego jeszcze dotychczas rodzaju fantastycznej konwersacyi pośmiertnej z Sainte Beuve'em, ojcem współczesnej krytyki francuskiej, dla którego p. Grappe ma kult wielki.

Szkice o poszczególnych pisarzach obejmują całą niemal epokę romantyczną: p. Grappe jest jej wrogiem, podziela zdanie Laserre'a, który widzi w romantyzmie dużą klęskę dla Francyi, klęskę wpływami swoimi szkodliwymi sięgającą aż do dnia dzisiejszego. Ale p. Grappe wyraźnie jej nie potępia, gdyż uważa, że zadaniem krytyka nie jest wydawać sądy kategoryczne, ale raczej tłumaczyć i komentować autora, ułatwić czytelnikowi wniknięcie w jego psychologię, w jego zamiary i cele.

„*Mon métier est de semer des doutes* — Moim zawodem jest rozsiewanie wątpliwości" — tę dewizę, wyjętą z Bayle'a umieszcza p. Grappe na czele swej książki; rozsiewanie wątpliwości tam, gdzie jej niema, w sprawach uznanych za zdecydowane, a jednak wątpliwych: jedynie tą drogą dojść można do odkrycia

[1]) Georges Grappe: Dans le jardin de Sainte Beuve. Paris, Stock, 1909, 3·50 fr.

względnej prawdy, jedynie, stawiając znak zapytania, da się uniknąć sądów narzuconych autorytetem, niejednokrotnie niepowołanym.

Stawianie w wątpliwość prawd uznanych, a obok tego dużo ironii, — oto, co zdaje się, stanowi cechę charakterystyczną szkiców p. Grappe'a.

Najdłuższy, a zarazem najciekawszy szkic w *Dans le jardin de Sainte Beuve* — to rozmowa pośmiertna z autorem *Causeries de Lundi.*

Wprowadza w niej p. Grappe czytelnika do historycznego domku przy ulicy Montparnasse, pozwala mu wniknąć w życie codzienne wielkiego krytyka i poznać jego zapatrywania i poglądy, daje nam portret tak wierny i tak żywy, że chwilami wydawać się może, iż rzeczywiście wczoraj czy onegdaj rozmawiał i obcował z Saint-Beuve'em. Ten interwiew, mówiąc językiem współczesnym, z autorem *Volupté*, należy też do najlepszych kart, jakie Sainte Beuve'owi w ostatnich latach poświęcono.

* * *

Ot, jeszcze przyczynek nowy do epoki romantycznej.

Ziomek nasz, p. I. H. Retinger, ogłosił studyum p. t. *Le conte fantastique dans le romantisme français;* jest to, jak powiada autor w przedmowie, rozdział jeden większej pracy, którą przygotowuje do druku, o baśniach fantastycznych w literaturze powszechnej XVIII. i XIX. wieku. W swej broszurze traktuje o pracach, które pojawiły się między latami 1820—1850, t. j. we właściwej epoce romantycznej; wyklucza z niej baśni czarodziejskie, mające źródło swe w wierzeniach religijnych, a uwzględnia jedynie baśni fantastyczne, w ścisłem tego słowa znaczeniu, t. j. te baśni, które początek swój biorą „w duszy zbuntowanej, dumnej ze swej własnej siły, walczącej z potęgami wyższemi, w porozumieniu z innemi także wyższemi, a najczęściej złemi potęgami". Z natury rzeczy wynika, że „baśń fantastyczna jest... krwawa, dzika, przestraszająca i zimna jak lodowce północy zkąd pochodzi."

Pierwiastek fantastyczny do literatury francuskiej wprowadza romantyzm, odrazu staje się on dominującym, uzyskuje aprobatę i uznanie, a także powodzenie wśród czytelników. Ten pierwiastek przechodzi do Francyi z Niemiec i z Anglii, ale pod wpływem

pisarzów francuskich nabiera charakteru „łacińskiego": aczkolwiek naśladowany jest oryginalny.

W oddzielnych rozdziałach traktuje p. Retinger o Nodier, o Teofilu Gautier, o Mériméem, o de Nerval'u i o Balzac'u, wykazując źródła i pochodzenie poszczególnych baśni i podkreślając cechy charakterystyczne każdego z wymienionych autorów. W zakończeniu szuka wpływów późniejszych, manifestujących się w twórczości pisarskiej Juliusza Verne, Villiers de l'Isle-Adam, Barbey d'Aurevilly i innych. „I oto, — kończy — rodzaj ten najbardziej modny w epoce romantycznej, przeżył tę epokę i wydał, aż do dni dzisiejszych arcydzieł wiele, które mogą być zaliczone do najpiękniejszych, jakie w języku francuskim zostały ogłoszone."

* * *

Niemasz niemal pisarza, któryby Rzymu nie odwiedził, a z odwiedzin tych nie wywiózł wrażeń takich, że odbiły się na jego działalności pisarskiej. Z tego założenia wychodząc, p. Gaspard Valette w książce p. t. *Reflets de Rome*[1]) zebrał wyjątki z autorów francuskich, odnoszące się do ich pobytu w Rzymie, a zebrawszy, z sobą wzajemnie powiązał i skomentował. „Rzym — pisze p. Valette — jest miastem, które przemawia do każdej duszy i mówi jej to, czego oczekuje, co jest dla niej właściwe". Zastanawia się nad tem, co Rzym daje: a więc jednym piękno ruin, innym bogactwa swe artystyczne, innym jeszcze otoczenie przyrody, innym wrażenia świętego miejsca i t. d., zarówno heretyk, jak wierzący, artysta, pisarz, czy myśliciel, czy zwykły podróżnik, — słowem każdy znajdzie swą cząstkę, znajdzie to, co mu sprawi zadowolenie i miłą, niezatartą pozostawi pamiątkę.

Swoją podróż retrospektywną literacką zaczyna p. Valette od Montaigne'a, który przedewszystkiem szukał Rzymu starożytnego: pozatem, tak jak w swoich *Essais* badał człowieka... do Rzymu przywiązał się już był dawniej, czytając autorów starożytnych i koniecznie chciał zostać obywatelem rzymskim — był to zresztą jeden z powodów, dla których odbył swą podróż; obywatelstwo to uzyskawszy „mając wielkie zadowolenie z tego po-

---

[1]) Paris, Plon, 1909, 3·50 fr.

wodu", — jak pisze w swym dzienniku podróży — wyruszył w drogę powrotną.

W wieku XVI., z pisarzów francuskich, byli jeszcze w Rzymie: Rabelais i Joachim du Bellay. Rabelais trzy razy w charakterze doktora Jana du Bellay, miasto pamiątek odwiedzał: napisał nawet dzieło p. t. *Topographia Romae,* którego manuskrypt w Rzymie zostawił i naraził się na to, że ogłoszone zostało pod nazwiskiem Włocha Marliani. Du Bellay z pobytu dwa tomy poezyi wydał: *Antiquités de Rome* i *Regrets;* ostatni bardziej szczery niż pierwszy, — rozmyślania i medytacye przesadzone na ruinach Rzymu.

W wieku XVII. widzimy w Rzymie: Voiture'a, Scaron'a, panią de Sevigné, Balzac'a; w XVIII.: Montesquieu, zkąd przywiózł myśl napisania *Considérations sur les causes de la grandeur et de la décadence des Romains,* de Brosses'a, autora *Lettres familières,* dzisiaj jeszcze, jak mówi p. Valette, „jednego z najlepszych przewodników dla przechadzek po Rzymie".

Właściwa jednak literatura Rzymu w piśmiennictwie francuskiem rozpoczyna się z wiekiem XIX.: Chateaubriand, Veuillot, Stendhal, J. J. Ampère, bracia Goncourt, Taine, Renan, Bourget, Zola, Anatole France i wielu innych, których lista nie miałaby końca...

Chateaubriand „widział Rzym, niby malarz, czuł niby poeta, opisał jako poeta i jako malarz wieś wspaniałą i opustoszałą, Tyber melancholijny, ruiny, symbole śmierci i nicości, cienie i światła tych pamiątek oblewanych promieniami martwego księżyca". Veuillot nawrócony widokiem Rzymu i pobytem w Rzymie „dał najpiękniejszy opis katolicki tego, co tam widzieć można".

Dzieła Stendhala pełne są opisów i epizodów z Włoch i z Rzymu. Naprzód jednak dwie książki specyalnie poświęcone temu przedmiotowi: *Rome, Naples et Florence* i *Promenades dans Rome;* o pierwszej, aczkolwiek niedorównywa ostatniej, która jest póżniejsza, pisał Goethe do swego przyjaciela Zelter'a: „Należy nie tylko czytać tę książkę, ale ją posiadać na własność"; nawiasem mówiąc, Stendhal, jakto zresztą było w jego zwyczaju, bez ceremonii żadnej przepisał w swej książce całe ustępy z Podróży Goethe'go; Goethe o tem wiedział, ale mimo to chwalił: „Czyta się tę książkę, odczytuje się ją na nowo, a radby człowiek na pamięć nauczyć się pewnych ustępów".

Po Stendhalu, w chronologicznym porządku, odwiedził Rzym J. J. Ampère, zresztą Stendhala mając za przewodnika. Dla Am-

père'a Rzym jest wszystkiem, staje się on Rzymianinem do głębi swej duszy, boli go niezmiernie, kiedy widzi zmiany, jakie „postęp“ w imię „nauki“ każe zaprowadzać „w tem mieście Petrarki“. Ampère pozostawił książkę, przy redakcyi której umarł, p. t. *Histoire romaine à Rome.*

Wprowadza nas wreszcie p. Valette do epoki współczesnej: mówi o włoskich pracach Goncourt'ów, o *Voyage en Italie* Taine'a, *Letttres à Berthelot* Renan'a, *Cosmopolis* Bourget'a, *Rome* Zoli, *Sur la pierre blanche* Troule'a. „Przechadzając się po Rzymie dzisiejszym, idąc śladami tych, co o nim pisali z całą swobodą, wedle naszej fantazyi i naszych upodobań osobistych, nic nie stanie nam na przeszkodzie, abyśmy te same robili odkrycia, abyśmy to samo co i oni odczuli, te same odnieśli wrażenia. A do tego dołączona będzie przyjemność, że niejednokrotnie znajdziemy u siebie myśli i urojenia podobne do ich myśli i wrażeń, do myśli i wrażeń tych podróżników wybranych, tych umysłów wyższych“.

I rzeczywiście książka p. Valette'a miłym będzie towarzyszem, a nadewszystko łatwym do zabrania z sobą dla tych, co Rzym odwiedzają, a dla których piśmiennictwo francuskie nie jest martwą literą.

Memento: W księgarni Baillière'a: *Ray Nyst: La Caverne* (1909, 4 fr.) — powieść z życia ludzi pierwotnych w Epoce formacyi trzeciorzędowych. — U Fayard'a: *Leon Séché: Le roman de Lamartine* (1909, 1 fr. 35 cnt.). — U Gresset: *Emile Baumann: L'immolé* (1909, 3·50 fr.) — powieść katolicka; *Leon Lafage: La Chèvre de Pescadoire* (1909, 3·50 fr.); *Etienne Rey: De l'amour* (1909, 3·50 fr.) — krytyka metafizyki życia płciowego Schopenhauera, oraz zbiór aforyzmów o miłości. — U Louis-Michaud: *E. de Fréjac: Voyage à l'axe de la terre* (1909, 3·50 fr.) — powieść fontastyczna w rodzaju Wells'a, na którym autor niezawodnie się wzoruje. — *P. Hittemans: Souvenirs et avanture d'un cabot* (1909, 3·50 fr.) — pamiętnik francuskiego aktora, rodem z Belgii — przyczynek do historyi współczesnego teatru. — Mercure de France: *E. Mazel: Bibliothéques* (1908, 2 t. 15 fr.). — Wykazanie błędnej organizacyi bibliotek francuskich w zestawieniu z bibliotekami angielskiemi i amerykańskiemi; zbiór wskazówek mających związek z księżnictwem: *Emile Verhaeren: Les Heures claires* (1909, 3·50 fr.) — zbiór nowych poezyi. — U Plon'a: *Henry Bordeaux: Portraits*

de femmes et des femmes et des enfants (1909, 3·50 fr.) — szereg sylwet i szkiców: Pani de Charmoisy — przyjaciółka Franciszka z Asyżu, hr. de Boigne, Pani de Charrière, Panna de Lespinasse; dzieciństwo Bayard'a i Mistral'a; — *Ernest Seillière: Une tragédie d'amour au temps du romantisme* (1909, 3·50 fr.) — tragiczna śmierć pani Stieglitz, stosunek jej do męża i wpływ, jaki wywarła na jego działalność pisarską. — U Sansot: *Magali Boisnard: Les Endormies* (1909, 3·50 fr.) — powieść z życia kobiet arabskich. — U Stocka: *Abel Faure: L'individu et les diplômes* (1909, 3·50 fr.) — autor wydanej w r. z. książki *L'individu et l'esprit d'autorité* traktuje o wadach w wychowaniu i wykształceniu francuskiem.

Kazimierz Woźnicki.